Zeszyt 4. • Lwów dnia 1. Lutego 1879. • Rok I.

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

Prenumerata kwartalnie 3 złr. = 6 mark. półrocznie 6 złr. = 12 mark.

Wychodzi dnia 1go, 10go i 20go każdego miesiąca.

W. Maniecki Wydawca i odpowiedz. za Redakcją we Lwowie, Rynek l. 28.

Prenumeratę i Inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XIII.

(C. d.) Pod słońcem palącem, wśród roślinności bujnej, w krainie pagód, poświęconych Trójcy tajemniczej, na starożytnej ziemi indyjskiej, zamieszkał Polak, z nad brzegów Wisły. U jego boku widywano kobietę młodą i piękną, a gdy małżonkowie wychodzili na przechadzkę, przed nimi biegło zawsze dwoje małych dziatek, chłopczyk i dziewczynka, które trzymając się za rączki, szczebiotały z sobą to po polsku, to po angielsku; stosownie do tego, jakim językiem jedno z nich pierwsze mówić zaczęło.

Już dziesięć lat upłynęło od chwili, gdy okręt przewozowy *Ryszard*, stanął u brzegów indyjskich‘ mając na pokładzie biednego Ellingtona z liczną rodziną i Stanisława Wybickiego z piękną żoną. Ci także nie byli bogaci, ale podczas gdy master Ellington, mając lat pięćdziesiąt z górą, siły stargane, żonę i kilkoro dzieci, nie łudził się więcej nadziejami zbyt różowemi i pragnął przynajmniej los sobie polepszyć; przeciwnie, młody Polak, chociaż w kieszeni nie wiele miał funtów, roił sobie przyszłość świetną, bo wierzył w siły swoje i anioła opiekuńczego, którego miał przy boku.

Stanąwszy w Kalkucie i przeliczywszy kasę, która niespełna dwadzieścia funtów wynosiła, Wybicki nie zmarnował ani dnia jednego, lecz bezzwłocznie zaczął szukać zajęcia. W owych czasach Indje wschodnie nie były jeszcze tak przepełnione Europejczykami, jak za dni naszych, to też każdy człowiek młody, pracowity i władający dobrze językiem angielskim, mógł być pewnym, że znajdzie przyzwoity kawałek chleba; a ponieważ Stanisław posiadał wszystkie te warunki, więc już w ciągu pierwszego tygodnia otrzymał posadę w jednym z pierwszych domów handlowych. Odtąd wiodło mu się rozmaicie.

Kto opisze wiernie życie tułacza, porzucającego dom ojczysty i błąkającego się po świecie szerokim! Życie takie to zbiór zawodów, niespodzianek, przypadków, chwil jaśniejszych i boleści bezmiernych, które poplątane chaotycznie tworzą obrazy pełne grozy wzniosłej, które trudno objąć pamięcią, a jeszcze trudniej opowiedzieć.

Ośm lat mieszkał Wybicki w Kalkucie a chociaż cały ten czas z równą pracował gorliwością, ani jeden rok nie spłynął mu spokojnie i nigdy nie był jutra pewnym. Wiedząc, że jako urzędnik kantorowy nie zabezpieczyłby sobie przyszłości, rzucił się na pole przedsiębiorstw, w których nie bardzo mu się wiodło. Ilekroć dorobił się kilkuset funtów, zawsze los zawistny psuł mu całą budowę, poczem następowała ruina. Ale ruina nigdy go nie przerażała. Licząc na własne siły, zaczynał budowę od początku, aby wkrótce znowu widzieć gruzy. Bywały czasy że mu się wiodło bardzo dobrze; lecz zdarzało się i tak, że dla żony i dzieci nie miał kawałka chleba.

W tej ciężkiej walce z losem i światem, Mary, którą on teraz swoją Marysią nazywał, była mu ciągłą zachętą, pomocą, opieką. Nie psując się powodzeniem, ani rozpaczając wśród klęsk największych, była zawsze łagodną żoną, troskliwą matką i gospodynią zapobiegliwą, jedną z tych niewiast, które Opatrzność przeznacza bądź dla

wybrańców swoich, bądź dla zbłąkanych, aby one odwodząc męża od złego, wprowadzały go powoli na drogę cnoty.

Przy takiej żonie, Stanisławowi nigdy na myśl nie przyszło żałować, że nad Tamizą zostawił miljonerkę, która chciała mu zapewnić życie bez walki. Bo i jakże nie miał Mary kochać, kiedy ona dla niego wyrzekła się swego kraju, nawet swego języka, bo dopóty męczyła się i uczyła, dopóki nie zaczęła rozmawiać z mężem w jego mowie ojczystej. O! kobieta jak ona kochająca, wyrzecze się nawet Boga własnego i pójdzie za Bogiem męża!

W rok po przyjeździe do Indji, urodził im się synek, jasnowłosy i niebieskooki, podobniusieńki do ojca; a w półtora roku później przyszła na świat dziewczynka, której matka dała w spuściźnie włos czarny, oko czarne i cerę nieco przyćmioną.

Synkowi dali rodzice na imię Bolesław — córeczce Wanda

Od dwóch lat szczęście stalej wspierało usiłowania biednego tułacza. Zarobiwszy sto funtów na werniksie, którego znaczną ilość zakupił u pewnego Babu, jak w Bengalu nazywają bogatych dorobkiewiczów, wziął się następnie do handlu jedwabiem, i szczęście tak mu sprzyjało, że w ciągu roku dorobił się majątku, który wynosił dwa tysiące funtów.

Ujrzawszy się panem tak znacznej gotówki, chciał wracać do Europy, z latami bowiem opanowywała go coraz większa tęsknota za krajem, i kto wie, czy postanowienia nie byłby rychło urzeczywistnił, gdyby nie master Ellington, który mieszkając także w Kalkucie, dość często znosił się z dawnym swoim znajomym i kolegą. Ten dowiedziawszy się, co Wybicki chce uczynić, przyszedł do niego i w te słowa przemówił:

— Czyś oszalał, sir? Czy cię Bóg odstąpił? Jak długo byłeś biedakiem, siedziałeś w Indjach, a teraz gdyś się czegoś dorobił, chcesz wracać do niewdzięcznej Europy, by tam znowu zostać biedakiem... Szczęście, mój sir, rzadko przychodzi, lecz gdy raz już przyjdzie, lubi dłużej się trzymać, i wtedy trzeba umieć z niego korzystać. Kiedyś się dorobił dwóch tysięcy, jestem pewny, że w błogosławionych Indjach dorobisz się dwudziestu, może nawet stu, bo tu łatwo przyjść do majątku. Mnie samemu stokroć tu się lepiej powodzi, aniżeli w Anglji. Zostań sir z nami, zostań, bo doprawdy szkoda cię dla Europy. Wszak jesteś młody, możesz jeszcze pracować. Na starość dość czasu wrócić do domu.

Wybicki uznał, że master Ellington ma słuszność, ale chociaż Indyj nie porzucił, nie został dłużej w Kalkucie. Dowiedziawszy się, że w urodzajnych dolinach nad Gangesem, można dość tanio nabyć kawałek ziemi, przeniósł się na północ w okolicę miasta Patna, gdzie w rzeczy samej kupił szmat ziemi. Polak nie mógł całe życie być handlarzem — jego ciągnęło do roli. O, poczciwa krwi słowiańska, która umiesz kochać ziemię, bo ona jest dziełem Boga!

XIV.

Wspaniała to była okolica, w której potomek polskich wojewodów zamieszkał z żoną i dwojgiem dziatek.

Na prawo i lewo rozciągała się równina, od północy i wschodu zamknięta nurtami Gangesu, od południa oparta o stoki gór Raja-Rotas, równina bogata we wszystkie dary nieba, a nakryta szafirowym firmamentem, z którego padały promienie wiecznie jasnego, wiecznie palącego słońca!

Obok pól ryżowych, widać było grupy drzew morwowych, plantacje herbaty, indyga, konopi bengalskich, z których przyrządzają narkotyk przez ludy wschodnie „haszyszem“ nazywany; dalej, kołysały się żałośnie drzewa palmowe, tamaryndy, a jeszcze głębiej, gęsta trzcina bambusowa broniła przystępu do rzeki świętej.

Drogi prowadzące do Patna, Bahur i innych miejscowości, były wysadzane drzewami owocowemi; co kilka tysięcy kroków stała gospoda, obok której mały, lecz jak łza czysty stawek zapraszał do kąpieli; wśród gajów cienistych jaśniały pagody Bramie poświęcone, a gdzie niegdzie oko przechodnia padało także na białą wieżyczkę kościoła protestanckiego, który Anglicy wznieśli dla swoich kolonistów i krajowców, pozyskanych przez misjonarzy dla wiary chrześcijańskiej.

Wszędzie był ład, porządek wzorowy. Wprawdzie Anglicy zrobili tu wiele, lecz nie wszystko. Na długie wieki przed ich przybyciem do tego raju ziemskiego, Indje miały swoją kulturę, która stawiała je najwyżej między ludami starożytnemi. O ślady tej kultury przechodzień co krok tu potrącał.

Wioska Mokejohoo, w której Wybicki zamieszkał, była pod względem religijnym hojnie wyposażona. Prócz świątyni i pagód wzniesionych na cześć Trimurty, wielkiej Trójcy indyjskiej, w środku wsi był kościół angielski; za wsią zaś, w oddaleniu tysiąca kroków, wznosił się na pagórku malutki kościółek katolicki, postawiony przez misjonarzy irlandzkich, z których jeden zamieszkał obok, w małym domku z trzciny bambusowej.

Na przeciw kościółka, otoczony wieńcem drzew odwiecznych, dumał olbrzymi gmach kamienny, pełen ozdób dziwacznych i linji fantastycznych, w którym wyznawcy Buddy trawili życie na rozmyślaniu o swojem bóstwie. Był to więc klasztor buddystów, w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, podobny pod wielu wzglę-

dami do klasztorów naszych, jeden z tych, których w Bengalu nie wiele się spotyka, lecz których na setki liczy ościenna Birmanja.

Wybicki zamieszkawszy w Mokejohoo, postawił sobie domek murowany, wygodny, przestronny, podobny do swojego dworku rodzinnego, w którym pierwsze światło zobaczył i lata pierwszej młodości przeigrał. Dom, stosownie do wymagań miejscowych, stał na podmurowaniu wysokiem, aby złe gady nie dostały się do jego wnętrza; ani woda, która podczas ulewnych deszczów nagle tu przybywa, nie zrobiła kiedy mieszkańcom niemiłej niespodzianki. Ganek, wsparty na ośmiu kolumnach, cały okryty bogatą roślinnością, był jedyną ozdobą budynku.

Mieszkańcy wsi usłyszawszy, że przybysz zamierza stawiać dom murowany, odradzali mu to z dwóch powodów: raz, że mur drogo kosztuje, powtóre, że w okolicy narażonej na częste trzęsienia ziemi, dom murowany nie jest schronieniem bezpiecznem. Wybicki jednak nie dał się odwieść od zamiaru powziętego — ostrzegającym go zaś odpowiedział zwróceniem ich uwagi na murowane świątynie indyjskie i kościoły chrześcijańskie, które nie z jednego trzęsienia wyszły zwycięzko.

Gdy po upływie pół roku domek był skończony, Wybicki poprosił misjonarza irlandzkiego, aby stosownie do zwyczajów w Polsce przyjętych, poświęcił mu chatę nad Gangesem. Misjonarz uczynił to z największą radością; gdy zaś wieczorem tego dnia razem przy herbacie siedzieli, tyle wspomnień słodkich obudziło się w duszy gospodarza, jego żony i ich gościa, że wszyscy razem spłakali się jak dzieci.

Widząc, że rodzice płaczą, a sędziwy kapłan serdecznie im wtoruje, mała Wandzia pobiegła do swego pokoiku i także płakać zaczęła. Bolcio natomiast, to patrzył na starszych, to przybiegłszy do siostry rączki jej odchylał, by się przekonać, czy Wandzia jeszcze płacze, lecz sam oczy miał suche, spokojne i przez cały czas słowa nie przemówił...

XV.

Bolcio urodził się dzieckiem wątłem, malutkiem i gdyby nie nadzwyczajna matki troskliwość, której w pomoc przyszło błogosławione niebo indyjskie, pierworodny syn młodych małżonków byłby prędko w lepszą uleciał krainę. Matka atoli tyle bezsennych nocy przy jego kolebce strawiła, ojciec zaś tak znakomitych sprowadził lekarzy, którzy rodzicom kazali na całe lato wyjechać z Kalkuty, gdzie powietrze wówczas nie było zdrowe, że nareszcie chłopiec przemocą śmierci wydarty, zaczął sił nabierać. Rozwijał się, rósł, zapowiadał że będzie śliczny, lecz mimo to nie miał sił odpowiednich swemu wiekowi. Szczupły w piersiach i słuszny nad swoje lata, Bolcio miał twarzyczkę białą, delikatną, której skóra przejrzysta ledwie osłaniała żyłki niebieskie, widne na czole i skroniach. Chociaż biegał z głową odkrytą po słońcu indyjskiem, nie ogorzał, nie opalił się nigdy, co krajowców tak uderzało, że go dzieckiem „piany morskiej“ nazywali.

Czy to, że Bolcio był pierworodnym, czy że z taką trudnością przy życiu go zachowano i rodzice tyle przy nim wycierpieli, czy nakoniec, że tak był do ojca podobnym, dość, że matka nie kochała go, ale ubóstwiała. Gdzie on był, tam ona być musiała, co on lubił, to jej największą sprawiało przyjemność; bez syna nie miała zabawy, spoczynku, życia Mąż widząc tę miłość bezgraniczną, nie raz z tego powodu robił żonie wymówki łagodne, zwracając jej uwagę na Wandzię, która jako córka domagała się równej miłości.

— Wandzia — odpowiadała żona — jest kobietą, więc pieszczot nie potrzebuje; za to tem łatwiej będzie później znosiła losu przeciwności. Zresztą jest zdrowa... ślicznie wygląda... A ten Bolcio taki wiotki, taki delikatny! Patrząc nań, boję się, by mi się nie rozpłynął w mgle wieczornej... On potrzebuje mojej opieki dzień cały, zawsze; ja nie wiem zaiste, jak on się bez niej w późniejszych latach obejdzie.

Z biegiem czasu, miłość matki jeszcze się zwiększyła. Wandzia patrząc na to, zamiast uczuć zazdrość, zaczęła na braciszka spoglądać jak na istotę wyższą, którą wszyscy ubóstwiać powinni, i sama go też ubóstwiała. Czasami tylko, gdy matka tygodniami w czoło jej nie pocałowała, stanąwszy w kąciku myślała sobie, patrząc na brata: Czemu też mama tak mnie nie kocha, jak jego? Smutno się wtedy małej dziewczynce robiło, ale mimo żalu, nie zmniejszyło się uczucie, którem jej serce było dla brata przejęte.

Dawniej, gdy jeszcze oboje byli dziećmi małemi, zdarzyło się raz, że matka trzymając Bolcia na kolanach, gładziła ręką jego złote kędziory. Wandzia, zbliżywszy się cicho, stanęła obok braciszka, a nie mogąc dostać do jego główki, zaczęła głaskać jego rączkę małą. Matka, która jakiś czas nie zwracała na to uwagi, nagle zawołała:

— Wandziu! Nie widzisz, że masz ręce nieczyste?

Wandzia odeszła, aby sobie rączki umyć, które według jej przekonania wcale były czyste, a umywszy nie wróciła do matki i brata, lecz poszła do drugiego pokoju i gorzko zapłakała. Co jej z oczu łzy wyciskało? Nie wiedziała, chociaż czuła, że głęboki żal wypełniał jej serduszko. Czy jej krzywdę wyrządzono?

Ojciec kochał dzieci równą miłością, sam je-

dnak zajęty gospodarstwem, które wymagało bezustannego dozoru, nie miał czasu pieścić się z niemi i rzadko kiedy poświęcał im dłuższą chwilę. Zmęczony wracał do domu późnym wieczorem, aby ze wschodem słońca znowu wstać do pracy. Tej pracy on potrzebował, jak ryba wody, jak ptak powietrza, bo chociaż żonę ubóstwiał, a dzieci nad życie kochał, z dniem każdym stawał się posępniejszym, smutniejszym, tak go trapiła tęsknota za krajem. Mimo lat tylu strawionych na obczyznie, wspomnienia pierwszej młodości żyły w jego duszy, a im bardziej pamięć od nich się oddalała, tem goręcej kochało i tęskniło do nich serce.

Żona widząc to, pocieszała go, jak mogła, i często misjonarz, ks. Markett słyszał, jak mówiła do męża:

— Nie martw się Stasiu! Bóg łaskaw, wszystko będzie dobrze. Jeszcze bodaj rok, dwa przebiedować, potem sprzedasz swoją posiadłość i przeniesiemy się do Polski, która teraz jest i moją ojczyzną.

— Daj Boże! daj Boże! — odpowiadał mąż, całując żonę w czoło. — Przecież i dzieci należałoby wychować po bożemu i kości znękane złożyć między swymi.

— Amen! — dodawał ks. Markett, który jako Irlandczyk umiał także kochać swoją ziemię, swoje niebo i swoją niedolę.

Dzieci uczyły się w domu. Najpierw była ich nauczycielką matka sama, później ojciec czytał z niemi wieczorami książki polskie. W miarę jak dzieci podrastały, przekonywali się coraz więcej małżonkowie, że ich wiedza jest dosyć szczupła. Wybicki nie wiele uczył się w szkołach, potem wojował i tułał się po świecie, a co do pani Marji, ta, jako sierota uboga, nie mogła otrzymać większego wykształcenia. Smutna ta rzeczywistość boleśnie odbiła się w sercu matki, gdy pewnego dnia usłyszała od męża, że Bolcio będzie musiał odjechać do szkoły angielskiej w Patna. Co do Wandzi, ta miała zostać w domu i uczyć się z dziećmi miejscowego pastora, które miały nauczycielkę.

Z początku, biedna matka nie mogła pogodzić się z myślą, że dziś-jutro z synem się rozstanie, ale gdy rozum jej powiedział, że rozłąka jest niezbędną, Bolcio bowiem nie mógłby inaczej wywalczyć sobie w świecie stanowiska, przestała płakać i na los się skarżyć. Odtąd myślała jedynie o tem, by synek wyjechał z domu jak najlepiej wyposażony i aby na pensji na niczem mu nie zbywało.

Bolcio miał wtedy lat dziesięć — Wandzia kończyła dziewiąty.

XVI.

Na kilka dni przed wyjazdem do Patna, zkąd Wybicki nie spodziewał się wrócić prędzej jak za dwa tygodnie, bo i dróg żelaznych w Indjach wtedy jeszcze nie było, a dobre pomieszczenie syna wymagało także nie mało czasu i zachodu, małżonkowie wyszli wieczorem na przechadzkę. Cały dzień skwar był nieznośny; dopiero gdy słońce, jak olbrzymia tarcza krwawa utonęło w lasach dziewiczych, gdzieś od północy, od szczytów wiecznym śniegiem pokrytych Himalajów, nadbiegł wietrzyk chłodny, orzeźwiający, który ludzi z domu wyprowadził.

Wandzia wziąwszy brata za rękę, szła przodem. Za nimi postępowali rodzice; oboje byli smutni, oboje zamyśleni: ona, że rozstawała się z synem, on że odjeżdżał z domu na długo i matce dziecko zabierał, które tak kochała!

Droga, którą szli, była równa, szeroka, ocieniona dwoma rzędami wspaniałych tamarynd i wiodła tuż po przed klasztor buddystów, którego linje fantastyczne przedziwnie rysowały się w blasku słońca zachodzącego.

— Tobie nie żal wyjeżdżać, Bolciu? — pytała Wandzia braciszka, czule go za rękę ściskając.

Zamiast odpowiedzi, popatrzył na siostrę. Oczy jego były duże, niebieskie, spokojne, a ich wyraz był w tej chwili taki niedocieczony, nieziemski, że siostrzyczka aż się przelękła. Po niejakim czasie, odzyskawszy odwagę, znowu zapytała:

— Nie żal ci nas, Bolciu?

— Nie — odpowiedział cicho, patrząc na ziemię.

— Nie? A mnie ciebie żal bardzo, bardzo! A mama także płacze.

— Mnie nie żal, bo ja muszę pojechać. Ja muszę uczyć się i myśleć dużo, dużo...

— A to na co?

— Ażeby się dowiedzieć na co ja żyję i czy długo żyć będę.

I znowu spojrzał na siostrę tem okiem spokojnem, a tak głębokiem jak toń oceanu. Ona nie miała teraz odwagi popatrzeć na brata.

— Czy zastanawiałaś się kiedy Wandziu — zapytał po krótkiej przerwie — co to jest Bóg?

— Nie myślałam o tem, bo przecie ksiądz Markett, ucząc nas religji, nie raz nam mówił, że Bóg jest duchem niewidzialnym, który wszystko stworzył i bez którego na świecie nic się stać nie może. Nawet to, że teraz razem idziemy, jest z wolą Boga.

— A ja myślałem i zastanawiałem się nieraz długo — mówił Bolcio jakby do siebie — lecz nic nie rozumiałem.

Siostra spojrzała na brata niespokojnie. Odkąd zapamiętała, mówił on zawsze inaczej, jak jego rówieśnicy; był poważniejszym i głębszym w swo-

ich uwagach, ale nigdy jeszcze nie poruszał przedmiotów tak wielkich i nigdy nie mówił z takim jak dziś smutkiem.

— Ks. Markett mówił nam także — ciągnął chłopczyk — że duch żyje, a jednak to nieprawda.

— Nieprawda?! — zawołała Wandzia zgrozą przejęta — ty mówisz Bolciu, że to nie prawda?

— Pewnie... przecie jak człowiek umrze, to jego ciało do ziemi chowają, a potem z ciała rodzą się małe robaczki, robaczki giną, powstają z nich kwiatki i tym sposobem ciało ciągle żyje.

Wandzia nie mogąc dziecięcym swoim umysłem zrozumieć brata, a odczuwając tylko instyktem kobiecym, że w jego główce nie jest tak, jak w głowach innych chłopców dziesięcioletnich, przycisnęła rękę Bolcia do swojej piersi, a tuląc się doń szepnęła:

— Nie mów tak przy rodzicach nigdy, Bolciu! boby się zmartwili.

— Bądź spokojną, Wandziu!

Wypowiedział to poważnie, jak mężczyzna dojrzały, a zwiesiwszy główkę szedł dalej milczący.

Przed klasztorem zatrzymali się rodzice i dzieci stanęły.

Klasztor leżał wśród płaszczyzny starannie uprawionej i na czworoboczne łany podzielonej, stylem zaś przypominał klasztory greckie z czasów Konstantyna, z których każdy w danym razie mógł być na twierdzę zamieniony. Zabudowania klasztorne były otoczone sztachetami jak heban czarnemi, plantacje zaś i ogrody opasywał mur z cegły wypalonej. Budynek główny, wysoki na dwa piętra, cały okryty mistycznemi kwiatami i szczególnych kształtów wyrzynaniami, miał na dole salę, w której dziatwa okoliczna pobierała naukę czytania i pisania, na pierwszem piętrze znajdował się nowicjat, a na drugiem mieszkali księża buddyjscy. W ogrodzie starannie utrzymanym widać było kilka schludnych domków dla służby przeznaczonych; na boku, nieopodal wnijścia jaśniała kopułą złocistą niewielka pagoda, w której wierni ofiary składali, a po drugiej stronie budynku głównego, wznosił się dom mieszkalny przełożonego klasztoru, zwany „kjunga“, przed którym stały smoki z drzewa złoconego i dwa maszty olbrzymie w ziemię wkopane. Na jednym maszcie było godło ptaka „henzach,“ czczonego w świętych legendach, na drugim powiewał sztandar różnobarwny.

Główna świątynia, zwana „Tarahjom“, wspaniała co do rozmiarów i oświetlona otworami w dachu, miała wieżę czworoboczną, śmiało w niebo strzelającą, którą u szczytu wieńczył misternej roboty pierścień żelazny. U pierścienia tysiące dzwonków zawieszonych, za lada powiewem wiatru rozbrzmiewały się muzyką niezwykłą, powiem nieziemską, która podnosiła urok siedziby indyjskich ascetów.

W okolicy Mokejohoo nie wielu było buddystów, zaledwie kilkuset, znaczna bowiem większość mieszkańców należała do wyznawców Bramy, ale ponieważ był to jedyny klasztor tego wyznania na kilkadziesiąt mil w koło, a oprócz tego przełożony miał sławę człowieka świętego, więc z dalekich stron Indji ciągnęli tu wierni, z hojnemi dary, aby za nie uzyskać łaskę u bóstwa najwyższego, Buddy.

Przełożony klasztoru, uważany sam za świętego, nazywał się Alompra i pochodził w prostej linji od monarchy tego nazwiska, który w drugiej połowie wieku ośmnastego panował w Birmanji. Zajęty jedynie swoim klasztorem, w którym znajdowało się mnichów kilkudziesięciu, żył w ścisłem oddzieleniu od świata, trawiąc długie godziny na zgłębianiu tajemnic, zawartych w księgach świętych *Sudras*. Ale chociaż reguła klasztorna tak była surowa, że mnichom nie pozwalała znosić się z ludźmi na świecie mieszkającymi, swobody przełożonego, który tu miał godność patrjarchy, nie ścieśniała ona w równej mierze, to też Alompra nie tylko w swoim „kjungu“ kogo chciał przyjmował, lecz w sprawach klasztoru wyjeżdżał on w dalsze okolice i po kilka miesięcy bawił w podróży. Mówiono, że za młodu uczęszczał do szkół angielskich, i dopiero w latach późniejszych jakieś przejście bolesne kazało mu szukać spokoju wśród wiecznie niemych murów klasztornych; ile jednak w tem było prawdy, nikt we wsi nie umiał powiedzić, Alompra bowiem był starcem sędziwym, przeszło ośmdziesięcioletnim, którego za młodu nikt tu nie znał.

Wybicki przypatrywał się czas jakiś majestatycznej budowie klasztoru i świątyni, a potem obracając się do żony, rzekł:

— Szczególni ludzie, ci buddyści... Według ich mniemania, myśleć o bóstwie i w niem się zatapiać, jest największą szczęśliwością. Ja nie pojmuję takiego życia trawionego na rozmyślaniu.

— A ja je rozumiem — odpowiedziała Marja. — Kto na świecie nie spodziewa się już szczęścia, ten z przyjemnością może żyć z dala od ludzi, bo przynajmniej nikt jego bolu nie widzi. Nie zaprzeczysz mój Stasiu, że jestem kobietą praktyczną i do mistycyzmu najmniejszej nie mam skłonności, a jednak kto wie czy nie znalazłszy ciebie, z czasem nie byłabym się ujrzała w murach klasztornych. Sierota bez rodziców, zdana na łaskę krewnych dalekich, należących do wyznania które mi nigdy nie było miłem i w dodatku nie bardzo czułych, nie mogłam spodziewać się sama nic prócz boleści. Ty natomiast otworzyłeś mi niebo.

Przestała mówić, oparła głowę na ramieniu

męża, on zaś dziękując jej za słowa serdeczne, przycisnął ją łagodnie do swojej piersi. Po chwili znowu przemówił:

— Już tak dawno mieszkamy w tych stronach, a przełożonego klasztoru jeszcześmy nie widzieli... ma to być człowiek rzadkich cnót i wielkiego rozumu. Muszę go kiedyś odwidzieć. O wspaniałości jego mieszkania cuda opowiadają. Cały przepych Wschodu miał się tam złączyć aby uczcić Alomprę.

— Ksiądz Markett mówił mi wczoraj — przerwała żona — że właśnie pojutrze przypada jakaś uroczystość buddyjska, którą przed klasztorem zakończą zabawy ludowe. Możebyśmy poszli Stasiu?

— Najchętniej... Za kilka dni odwożę Bolcia, niech więc chłopiec jeszcze coś zobaczy i rozerwie się trochę. On taki smutny, tak rozrywki potrzebuje!

Matka westchnęła i słowa więcej nie przemówiła. Temat to był dla niej zbyt bolesny.

Podczas gdy rodzice tak rozmawiali, między dziećmi toczyła się także rozmowa cicha.

— Tak mi się ten klasztor podoba, — szepnął Bolcio do Wadzi, — że gdyby mi tatko pozwolił, zaraz bym tam poszedł.

— Po co? — zapytała siostra.

— Aby tam zostać...

— Ty byś tam chciał zostać Bolciu! Ty, chrześcijanin, między poganami?

— Ależ Wańdziu — odparł chłopiec głosem podrażnionym — jabym wierzył w naszego Boga, nie w ich, lecz miałbym przynajmniej sposobność cały dzień myśleć i dumać... Ja tak lubię spokój!

W tej chwili wietrzyk pochyliwszy grupę palm, która klasztor zasłaniała, uderzył o pierścień wieńczący szczyt wieży nad świątynią. Dzwonki nagle poruszone ozwały się tysiącem tonów to silniejszych, to słabszych, które mięszając się u góry, zlewały się potem na ziemię jak muzyka legend czarodziejskich.

Bolcio patrzył na szczyt wieży, słuchał, oddech w piersi tamował, ale twarz coraz większą pokrywała się bladością, a ręce zziębły mu i trząść się zaczęły.

— Co ci jest, Bolciu? — zapytała matka przestraszona, widząc że chłopiec, podpierany przez siostrzyczkę, zaledwie może ustać na nogach.

On długo nie mógł odpowiedzieć, lecz gdy wiatr ustał i muzyka dzwonków ucichła, westchnął, spojrzał dokoła, twarzyczka lekkim pokryła się rumieńcem i do matki czule się uśmiechnął.

— Nerwy! Nerwy! — rzekł ojciec, głową potrząsając. — Chwała Bogu, żeś się już pogodziła z jego odjazdem. Ja zawszę mówiłem, że chłopcu nic nie brakuje, tylko jest niesłychanie nerwowy. W mieście, pod stałym dozorem lekarza, przyjdzie do zdrowia.

(C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

według oryginału obcego przez H. W.

(C. d.) Na krzyk i alarm przez Jakóbka zrobiony, w domu rozpoczął się ruch ogólny. Drzwi otwierano i zamykano z łoskotem, wschody trzeszczały, uginając się pod biegającymi to na dół, to do góry, lżej lub ciężej. Widocznie z ogromnym pospiechem kończono jeszcze jakieś przygotowania do uroczystego przyjęcia, a lubo, całego programu, nie miano już może czasu wykonać, chciano choć w części jeszcze główne rzeczy uzupełnić. Gdy Jenny stanęła wreszcie u drzwi wchodowych z profesorem, niespodzianka czekała już na nią. Słupy w sieni były poobwijane zielonemi wieńcami, prześliczne „Witaj nam“ z kwiatów nad drzwiami jaśniało, zieleń i kwiaty wschody zaścielały, a przed wschodami stał wyprostowany Jacques, we fraku, z bukietem tak ogromnym, jak on sam był długim, z miną tryumfującą, z uśmiechem od ucha do ucha. Gdy młoda dama weszła, podstawił jej ten bukiet pod sam nos prawie.

Takie przyjęcie, można sobie łatwo wyobrazić, nie było wcale w guście mis Jenny. W domu jej ojca, uważano te wszystkie „sentymentalności“ za zbyteczne, a taką poufałość i zbliżanie się sług za zupełnie niestosowne i niewłaściwe. Jenny zmarszczyła czoło, obrzuciła poczciwego sługę od stóp do głowy wzrokiem tak dumnym a zimnym, że biedak cofnął się mimowolnie przed tem gniewem i tak niełaskawem spojrzeniem. Mis Jenny przebiegła koło niego, skinąwszy mu ręką zaledwie, a bukietu wcale się nie dotykając. W tem poruszeniu, nie było żadnej wdzięczności za jego chęci poczciwe, a przebijała się jeno pańska duma, prawie z pogardą granicząca i surowe, choć milczące, upomnienie, jak powinien trzymać się od niej w przyzwoitem oddaleniu. Nie rzuciwszy więcej okiem na wszystkie przygotowania, przebiegła szybko wschody i weszła w korytarz, gdzie właśnie wuj ze żoną na nią oczekiwał.

Profesor stał jeszcze ciągle na jednem miejscu, jakby wrósł w niego, jakby jakaś niewidzialna siła odebrała mu możność ruchu; widział chwilę przez drzwi otwarte powitanie młodej damy z krewnymi. Podziwiał jej pewność siebie, i sposób prawdziwie królewski, z którym weszła do salonu, podała zimną dłoń wujowi do uścisku nadstawiła lica do pocałowania wujence. Nic ją to nie zmięszało, nic nie obchodziło, że weszła pod ich dach w sposób tak niezwykły, że spadła z deszczem niemal, przemokła do nitki, że weszła małą furtką od pola, w towarzystwie zupełnie obcego człowieka. Nie wdawała się nawet w żadne tłumaczenia, chcąc od razu stanąć z krewnymi na stopie etykietalnej i chcąc aby zrozumieli, że od nich nie potrzebuje ani rad, ani uwag żadnych, że potrafi odeprzeć z całą energją wszelkie próby w tym rodzaju.

Drzwi zamknięto, a profesor ciężko odetchnął, jakby się ze snu przykrego budził. Potarł ręką czoło i zwrócił się do Jakóbka. Biedny chłopak stał również nieruchomo,

bukiet wypadł mu z ręki, a oczyma szklannemi, powodził ciągle po wschodach, po których przebiegła i znikła młoda dziewica, jak piękne, świetne zjawisko, wprzód obszedłszy się z nim tak szorstko i bez miłosierdzia! Jego pan położył mu rękę na ramieniu przyjaźnie:

— Chodź, Jacques ze mną na górę.

Na te łagodne słowa, wstąpiło życie w twarz, jakby skamieniałą młodego chłopaka, porwał się obiema rękami za głowę, rozrzucając, na wszystkie strony, włosy, jak len, jasne. Osłupienie zmieniło się na wyraz tak bolesny! czuł się tak głęboko, a tak niesprawiedliwie dotkniętym, że aż jego blade, bezmyślne oczy łzami gorzkiemi zalśniły.

— Cóż ja właściwie złego zrobiłem! — zawołał tonem płaczliwym.

— Nie myśl o tem Jacques! Młoda ta dama pewno nie widziała nigdy podobnego sposobu mieszczańskiego przyjmowania gości, więc rzecz całkiem naturalna, że jej tu wszystko się nie podobało.

Jakóbek chciał być posłusznym jak zawsze swemu panu. Odchodząc, schylił się jeszcze by podnieść ów bukiet nieszczęsny. Gdy go na nowo wziął w ręce, rozdrażnienie dotychczasowe przemieniło się w gniew gwałtowny. Zgniótł go najprzód w obu dłoniach, a potem rzucił całą siłą daleko na ogród.

— Jacques! — tym razem głos pana był już ostry i rozkazujący, to też biedny chłopczysko wrócił w tej chwili do przytomności.

— Idę natychmiast, panie profesorze! — odrzekł ze zwykłą pokorą i serdecznością i poszedł z głową zwieszoną za swoim panem, obcierając ukradkiem łzy ręką, które mu się gwałtem do ócz cisnęły.

Upłynęło sześć tygodni, od dnia przyjazdu młodej amerykanki, a jednak była ona jeszcze zawsze obcą w domu wujowstwa.

Nie było to ich winą, oni od pierwszej chwili przyjęli kuzynkę najserdeczniej. Doktor Etienne i jego żona należeli do rzędu tych ludzi spokojnych, dobrodusznych, u których jest najpierwszem zadaniem, żyć w zgodzie z całym światem; dla tego tylko, żeby ich nic nie wykolejało ze zwykłego trybu, żeby im nic nie psuło harmonji i jednostajności ich życia codziennego.

Forest osądził trafnie swego szwagra, mówiąc córce, że gdy go wyprawiał niegdyś do Ameryki, dając mu sumę stosunkowo za wielką na jego ówczesny majątek, zrobił tę ofiarę trochę z dobrego serca, ale więcej jeszcze, aby się pozbyć z kraju raz na zawsze niebezpiecznego demagoga, który mógł ściągnąć nieufność i podejrzenie na całą rodzinę, tak lojalną! tak uczciwie mieszczańską.

Doktor opłakiwał wiecznie, nieszczęsny wybór swojej siostry, która związała się z człowiekiem szalenie dumnym i upartym, patrzącym raczej z zimną krwią na nędzę i głód rodziny, a niechcącym się ugiąć przed nikim! nie przyjmującym najmniejszej pomocy, najmniejszego wsparcia od krewnych najbliższych. Był on najmocniej przekonany, że ten charakter ekscentryczny, ten człowiek, z głową przewróconą, a sercem gorącem, w Ameryce trzeźwej i praktycznej przedewszystkiem, musi przepaść, musi zaginąć! Stało się inaczej — a niezwykłe powodzenie, jakie go tam spotkało, wywarło swój zwykły skutek, wypełniło swoją powinność. Jeżeli przedtem państwo Etienne, unikali najstaranniej wszeikiego wspomnienia o swoim szwagrze, panu Fournier i o jakim kolwiek z nim powinowactwie; teraz mówili chętnie i chwalili się pokrewieństwem tak bliskiem z „milionerem“ panem Forest, a zapowiedziany przyjazd córki tego bogacza do ich domu, sprawił im radość niepospolitą.

Nie można wątpić, znając ich poczciwość i serce dobre, że nie byliby odmówili przytułku i byliby przyjęli otwartemi ramionami siostrzenicę rodzoną, choć by była ubogą, opuszczoną sierotą; lecz pobyt w ich domu bogatej jedynaczki miljonera napełniał dumą ich serca, budząc równocześnie w nich dla jej osoby nieskończone względy i najgłębsze uszanowania. Jenny też nic więcej nie żądała i nie zdawała się potrzebować.

Od pierwszej chwili dała do poznania najwyraźniej, że opieki nie potrzebuje, że potrafi prowadzić się sama. Stanęła w obec krewnych, na stanowisku tak niedostępnem tak samoistnem, że nawet nie śmieli próbować zbliżyć się do tej dumnej damy, z czułością poufalną, a tem mniej z jaką kolwiek uwagą lub naganą.

Przez wzgląd na jej ogromny majątek, chętnie pomijano oryginalność w postępowaniu i rozmaite kaprysy, ale czego jej nie mogli darować, ci z gruntu poczciwi i serdeczni ludzie, to tej zimnej obojętności i tego zamknięcia w sobie, tego braku serca. Bolało ich, że tak unika wszelkiego z nimi zbliżenia, że nigdy nie da im najmniejszego dowodu ufności, przywiązania. Jenny była wprawdzie zanadto dobrze wychowaną, żeby słowami wyrażać niezadowolenie z czegokolwiek w domu, żeby narzekać na cokolwiek; w braku słów, zdradziło ją przecież wiele razy, spojrzenie litośne i prawie pogardliwe, które rzucała często z powodu urządzenia skromnego; w domu czysto mieszczańskim. Chociaż wysilano się, żeby jej we wszystkiem dogadzać, czemże to wszystko było dla niej, wychowanej na łonie zbytku i komfortu amerykańskiego?

Poczciwi staruszkowie byli dotknięci do żywego; całe postępowanie siostrzenicy srodze ich bolało to też w krótce po jej przyjeździe, powiedzieli sobie, że jest istotą bez serca, w najwyższym stopniu dumną i zarozumiałą!

Mylili się do tego ostatniego twierdzenia. Jenny nie była zarozumiałą we właściwem tego słowa znaczeniu. Nie była ona dumną dlatego, że była bogatą, lub żeby tak wysoko ceniła inne swoje przymioty; o czem jednak miała wysokie wyobrażenie, to o swojej dojrzałości umysłowej. Zdawało jej się, że mimo swojej młodości, ma prawo rozporządzać dowolnie swoją osobą, a nawet wziąć przewagę nad starszemi. Wszak jej to ojciec umierający powiedział, że ją tak wychował żeby sobie potrafiła sama radzić w świecie. Onaż by to pozwoliła dawać sobie rady, a może jeszcze napomnienia! Komu? Tym Francuzom niedołężnym! stojącym umysłowo o tyle niżej od niej! Nigdy! przenigdy!

Wychowana w Ameryce, tej krainie zupełnie wolnej, gdzie nikogo nic nie krępuje, gdzie wszystkie stany są porównane, gdzie tytuły, które ślepy traf wrzuca komuś do kołyski, nie istnieją, a za to cenioną jest osobista zasługa i żadna uczciwa praca, nie wyklucza człowieka z wyższych sfer towarzyskich; nie można się dziwić, że w ciasnem kółku mieszczańskiem, w którem obracali się jej wujowstwo, wydało się jej wszystko śmiesznem, niewolniczem, nieznośnem! Jej krewni byli nieraz w trwodze śmiertelnej, gdy w liczniejszem towarzystwie, zaczęła w ten sposób krytykować, z całą otwartością i bezwzględnością jej właściwą, zwyczaje francuzkie, kastowe różnice i uprzedzenia, wyłączność pewnych kółek; gdy wytykała z republikańską szorstkością niedorzeczność wszelkich tytułów, których się nie dobija własną pracą i zasługą.

Mogli jednak być spokojni. Mis Forest była Amerykanką i miljonerką, więc miała dwa przymioty, które jej z góry zapewniały zupełne pobłażanie, choćby popełniła najdziksze wybryki, które zgubiły by niewątpliwie w opinji małomiasteczkowej, każdą inną, mniej majętną panienkę, tem więcej, że dotąd nikt nie wiedział o tem, że jest narzeczoną. Nie było w całem mieście znaczniejszej rodziny, któraby nie ostrzyła sobie ząbków i nie robiła nadzieji na tę „olbrzymią partję“ dla kogoś ze swoich krewnych, bliższych lub dalszych. Gdziekolwiek miljonerka raczyła się pokazać, była otaczaną, uwielbianą, do czego zresztą była przyzwyczajoną i co jej wcale nie dziwiło. Unoszono się ogólnie nad jej urodą, mimo, iż stanowiła rażący kontrast z pięknościami miejscowemi, które były po większej części silnie zbudowane, jasnowłose i rumiane jak jabłuszka; pochlebiano jej dumie, którą nie jednego boleśnie dotknęła, podziwiano jej rozum, z którym rzadko kiedy zdradzić się raczyła, zachowując najczęściej pogardliwe milczenie w towarzystwie. Cóż dopiero mówić o całej męzkiej młodzieży! Ta, leżała pokotem u nóg tego promienistego „Meteoru“ i nieopuściła żadnej sposobności, żeby nie wystąpić jaskrawo, z uwielbieniem bez granic, z adoracją bałwochwalczą, dla dziedziczki miljona! Nikt jednak z tych licznych wielbicieli nie mógł się pochwalić, żeby mu się udało, bodaj na chwilę, przełamać zimną powagę, lodowatą obojętność, w którą młoda dama opancerzyła swoje serce, stosując się w tym wiernie do tradycji i rad ojcowskich.

Doktor Etienne posiadał dom ,piękny, położony na głównej ulicy miasteczka L* Sutereny i piętro nad niemi sam zamieszkiwał. Górne pokoje były wynajęte profesorowi Ludwikowi Servigny, który, od lat trzech, zajmował katedrę profesorską na uniwersytecie w L*. Miejsce to wielce zaszczytne, szczególniej dla tak młodego człowieka, zawdzięczał on znakomitemu dziełu naukowemu, które miało rozgłos ogromny, stanowiło niemal epokę między uczonymi i od razu zrobiło jego imieniu, dotąd nikomu nie znanemu, taki rozgłos, że został powołany na profesora do L*. Był on tu zupełnie obcym; przybył w towarzystwie swego wiernego Jakóbka, nie mając do nikogo żadnych listów polecających żadnych rekomendacyj.

Pierwsze jego odczyty i sposób jasny, dokładny nauczania ściągnęły na niego uwagę kolegów, a zyskały mu uznanie najwyższe i sympatją szczerą uczniów. Na tem też i zostało. Servigny nie był szarlatanem naukowym; nie umiał wyzyskać chwilowego uniesienia, nie chodziło mu widocznie o rozgłos coraz większy. Wypełniając ściśle swoje obowiązki, unikał zresztą wszelkiego ze światem zetknięcia; nie robił żadnych znajomości, nie bywał u nikogo i nawzajem żadnych odwidzin nie przyjmował, odmawiał z góry wszelkim zapraszaniom: jednem słowem: żył jedynie dla swoich prac naukowych, im czas wolny poświęcając wyłącznie. Co do stosunków światowych, tłumaczył się zawsze słabem zdrowiem, które mu nie dozwalało brać w nich udziału. Z początku nie bardzo chciano temu wierzyć, i przypisywano Bóg wie jakim awanturom strasznym i tajemniczym; to odosobnienie, tę dzikość, to uciekanie od ludzi. W krótce jednak przekonano się, że profesor był człowiekiem najłagodniejszym i najniewinniejszym; zamiłowanie zaś w samotności zupełnej, wypływało istotnie, częścią ze względu na złe zdrowie, częścią z namiętności do studjów naukowych, od których niepodobnem mu było oderwać się, chociaż na chwilę. Profesorowie, z którymi miał stosunki obowiązkowe, podziwiali tę wiedzę olbrzymią a przytem skromność niezwykłą, z jaką ukrywał niemal swoje talenta, zamiast stanąć na świeczniku i zaćmić rozumem wszystkich na około siebie. Podziwiali i cieszyli się w duchu, pojmując dobrze, jak by im mógł być niebezpiecznym ten człowiek, gdyby obok tak wielkiej nauki, miał poczucie swojej wartości i energję potrzebną do pokazania światu swojéj wyższości. Szedł więc dalej tą drogą cichej pracy, którą sobie z góry wytknął, przez nikogo nie napastowany. Nie wzbudzał w nikim zazdrości; jego wykłady były już dawniej uczęszczane, jego dzieło cenione wysoko; zresztą nie grał żadnej roli na uniwersytecie, tak, jak i w towarzystwie żadnej przyjąć nie chciał, i wkrótce, wśród całego gwaru miastowego który go otaczał, stał się prawdziwem odludkiem. Doktor Etienne, nie mógł także uskarżać się na swego lokatora. Nie robił on w domu najmniejszej różnicy, najmniejszego hałasu, płacił czynsz regularnie, a jeżeli kiedy zdarzyło się go spotkać przypadkiem, pozdrawiał grzecznie swoich gospodarzy, nie zbliżając się jednak i unikając dłuższej rozmowy. Doktór był jedynym, który miał wstęp dozwolony do profesora, w razie napadów słabości, dość często się powtarzających. Sama pani chciała także odwiedzać go i zająć się nim z macierzyńską troskliwością; nie przyjął jednak tej ofiary, dziękując za nią grzecznie, lecz stanowczo.

Nie mogąc wziąć pod swoje skrzydło opiekuńcze pana samego, wynagrodziła to sobie, biorąc przynajmniej jego sługę, pod swój zarząd wyłączny.

Jakubek nie był ani zbyt inteligentny, ani zbyt pojętny; w ogóle, natura udzieliła mu bardzo skąpo władz umysłowych, wynagradzając ten brak olbrzymią siłą fizyczną i dając mu, zamiast rozumu, serce najpoczciwsze,

którem ukochał, z czułością rozrzewniającą, pana swojego. Był mu jak pies wierny, a troskliwy i dbający o niego, jak matka dba o dziecko własne. Był on pod każdym względem niepodobny do swego pana, a najbardziej w tem jego stronieniu od ludzi. Jakubek przepadał za ludźmi, szukał ich towarzystwa, to też wszystkie wolne chwile — a miał ich zanadto, — profesor bowiem nader mało usługi wymagał i potrzebował — poświęcał chętnie państwu Etienne, pomagając pani w zakresie domowym i pracując z panem w ogrodzie. Nie długo stał im się niezbędnym, został ich prawą ręką, istnem factotum, bez którego nic się w domu zrobić nie mogło. On to wtedy pracował całemi godzinami, wysilając nie wielką inteligencję i zbierając myśli, o ile go stać było, nad uroczystem przyjęciem niewdzięcznej Amerykanki. Dla tego czuł się tak dotkniętym jej pogardą, jej lekceważeniem! Odtąd unikał najstaranniej wszelkiego z nią spotkania, a gdy ją zobaczył z daleka, uciekał w inną stronę, z wyrazem niechęci, prawie nienawiści dla tej dumnej osoby!

Lipiec miał się ku końcowi. Powietrze było parne, upał niesłychany. W pomieszkaniu profesora panowała cisza uroczysta, jak w kościołach podczas wielkiego tygodnia.

Nic się tu nie ruszyło, żaden dźwięk nie śmiał przerwać milczenia głębokiego.

Pokój jeden jak drugi, półki przy półkach, a na nich książki na książkach.

Story u okien zaledwie pół światła wpuszczały — nagromadzono i zamknięto w tem ciasnem miejscu ducha i wiedzę wieków całych, a tak się odosobniono od świata teraźniejszego, że nawet powiew letniego wietrzyka nie miał tu wejść którędy, muszka nie mogła się wcisnąć, by brzękiem swoim ożywić tę głuchą ciszę i przypomnieć rzeczywistość. W pokoju, gdzie właśnie siedział profesor, tak samo jak i w innych nic nie było, oprócz książek. Różnił on się jedynie większą jeszcze tychże ilością i mniejszym porządkiem. Tam, były na półkach poukładane; tu, chciano je mieć pod ręką, więc leżały tu i tam bezładnie.

Ludwik siedział przed biórkiem, w dużem krześle poręczowem, ale wcale nie pracował. Papier czysty, i pióro nietknięte leżały przed nim, głowa spoczywała bezwładnie o wysoką poręcz oparta, ręce trzymał na piersiach splecione, oczy były w sufit wlepione. Byłże to odblask storów zielonych, które rzucały cień na twarz, robiąc ją trupio bladą i przerażająco mizerną? Ależ i w całej jego postawie przebijało się okropne zmęczenie, zniechęcenie; a w oczach także nie było widać natężenia myśli, rozwiązującej trudne naukowe zagadnienia. W zapadłych źrenicach palił się ogień dziwny, gorączkowy, tyle było w tym wzroku łzawym, tęsknoty nieuleczonej, a przy tem tak wiele natchnienia i jakby zachwytu nie ziemskiego.

Czy gonił myślą za jakiemś wspomnieniem? czy duch jego snuł mary własnej fantazji? dość że takiemi oczami, może tylko patrzeć poeta, nigdy uczony.

Otworzono drzwi po cichu, jednak mimo całej ostrożności, Ludwik drgnął, z drażliwością właściwą ludziom chorym i nerwowym, zwracając się szybko w tę stronę. Na progu stał Doktor Etienne, a za nim tuż mocno zafrasowany i niespokojny Jakóbek. — Dobry wieczór — zawołał doktor wchodząc do pokoju. — No jestem znowu, żeby panu przemówić do sumienia. Gorzej z nami dzisiaj? Co? he?...

Profesor wypatrzył się zdziwiony:

— Bynajmniej! szanowny doktorze, jest mi całkiem dobrze... to tylko jakieś nieporozumienie... Wszak ja wcale nie chciałem, nie myślałem trudzić pana.

— Wiem, wiem — odrzucił doktór spokojnie — pan byś mnie nigdy nie wezwał, chyba jakby już szło na dobre o śmierć lub życie. — Ale oto Jacques przyszedł mi oznajmić, że z panem coś niezwykłego się dzieje.

— Tak znowu nic nie ma złego — tłumaczył Jakób, kryjąc się po za doktora plecy przed gniewnym wzrokiem swego pana, i nabierając powoli odwagi w tem schronieniu — jednakże nie jest dobrze! — Wiem nawet kiedy się tak pogorszyło. Od owego dnia, kiedy to pan profesor wyszedł na taki deszcz bez parasola, a potem wrócił z tą miss amerykańską, zostawiwszy gdzieś swój szal...

— Jacques! milcz natychmiast! — przerwał mu profesor z taką gwałtownością, jakiej dotąd w życiu swego pana nie doświadczył, to też cofnął się biedny Jakób o parę kroków w tył, a profesor mówił dalej, już trochę spokojniej:

— W ogóle, lepiej by było, żebyś się zajmował tem co do ciebie należy, a nie troszczył się o to, czego nie rozumiesz. A teraz wyjdź! i zostaw nas samych! (C. d. n.)

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD AFRYKI.

(C. d.) Gdy się to działo w Europie, w Ameryce pewien młody człowiek p. James Gordon Bennet, — któremu dostał się w spadku po ojcu, jako jego część, dziennik „New Jork Herald“ — poszukiwał korespondenta, któremu chciał powierzyć misję podążenia za angielską armją do Afryki i zaopatrywania amerykańskiej jego gazety, za jakąbądź cenę, najświeższemi z pierwszej ręki wiadomościami ztamtąd. Wiele osób już dotąd mu się przedstawiło — żadna mu się nie wydała odpowiednią do tego zadania. Pewnego dnia oddają p. Bennetowi kartę wizytową, na której nic nie ma, prócz nagiego nazwiska: „Stanley“. Ze wszystkich redaktorów „New Jork Herald'a“ nikt nie znał tego nazwiska, prócz samego p. Bennet'a. On był godnym synem swego ojca, który przez ciąg cały swego życia jedną powtarzał maksymę: „zawsze mieć dziennik na myśli“. P. Bennet starał się wyrobić sobie zdanie o każdym nowym a obiecującym talencie — i dla tego zapisał w swoich kieszonkowych notatkach nazwisko Stanleya, którego sprawozdania o powstaniu „Siouxów“, w „Trybunie“ zwróciły powszechną uwagę. Natychmiast wpuszczono Stanley'a. Wszedłszy, oświadczył odrazu

p. Bennetowi, że pragnie dla „Trybuny“ i „Heralda“ do Afryki pojechać.

Bennet rzucił jedno tylko krótkie, badawcze spojrzenie na zawiędłą, ale muszkularną postać stojącego przed nim młodzieńca.

— Pojedziesz pan tylko dla mnie jednego — ozwał się doń — albo nic z interesu.

— Ależ koszta będą niezmierne.

— To mi obojętne, odrzekł Bennet, strzepując cygaro.

W kilka chwil po tej wstępnej słów zamianie, zawartą została umowa: Stanley do Abissynji wyjechał. Spełnił on tam wszystkie oczekiwania swego redaktora, — i pan Bennet pierwszy miał przyjemność oznajmienia angielskiemu rządowi o zwycięztwie angielskiej armji — i samobójstwie króla Teodorosa. Angielski rząd rozporządzał wówczas pierwszy wszystkiemi środkami żywności i wszystkiemi telegraficznemi linjami. Pomimo tego nadszedł telegram Stanley'a o trzydzieści minut wcześniej od rządowego do Londynu. Bennet udał się natychmiast do ministerjum spraw zewnętrznych, gdzie prawdziwość telegramu podejrzywano.

— Myśmy nie otrzymali żadnej wiadomości — zarzucił minister.

— Otrzymacie ją panowie — odrzekł Bennet, pewny swojego sprawozdawcy.

I w samej rzeczy, nadeszła jeszcze przed końcem tej rozmowy oficjalna depesza — i ugruntowała Stanley'a sławę!

Angielska prassa zaofiarowała mu najświetniejsze warunki, on jednak pozostał wiernym Bennetowi, bo jemu swą zawdzięczał karjerę.

Stanley bawił właśnie w Londynie, gdy losem Livingstone'a zajmował się cywilizowany świat cały. „Gdzie Livingstone“ pytano się wszędzie i podobne zapytanie zadano także Bennetowi, bawiącemu podówczas w Paryżu.

Bogaty właściciel dziennika, który swego korespondenta do bieguna północnego wysłał; którego sprawozdawca p. Macgazan, pomimo zakazu ze strony rossyjskiej, umiał w czasie wojny z Chiwą przyłączyć się do rossyjskiej głównej kwatery — potrafił także odpowiedzieć i na to pytanie przez Stanley'a jak to w biegu niniejszego ustępu wkrótce ujrzymy.

Sposób i rodzaj, w jaki obaj amerykanie ten plan przeprowadzili, jest tak charakterystyczny, że nie możemy się powstrzymać od opisania go własnemi Stanley'a słowy.

„16. Października 1869 r. — pisze on — jestem w Madrycie — na krótko przedtem powróciwszy z pola bitwy pod Walencją. O 10 godzinie rano otrzymuję telegram zawierający następujące wyrazy: Spiesz do Paryża — ważne interesa.“

Depesza od James'a Gordona Bennet jr. młodego właściciela „New Jork Herald'a“.

W jednem mgnieniu oka, już zdjęte obrazy ze ścian mego pokoju, książki moje i ruchomości spakowane w kufer, bielizna złożona; choć jeszcze napół mokro zdjęta ze sznura i opierająca się przy zamknięciu kufra, tak, że zaledwie po kilku godzinach ciężkiej pracy dociągnąłem ostatecznie rzemieni kufra i napisem „Do Paryża“ zaopatrzyć mogłem.

Pociąg pospieszny opuszcza Madryt o 3ciej po południu. Mam więc czas jeszcze pożegnać moich przyjaciół. Jeden z nich, sprawozdawca pewnego Londyńskiego dziennika mieszka przy Calla Goy'e Nr. 6. Dzieci Karolinka i Wiliie wielce przywiązane do mnie i chętnie słuchają mych przygód. Muszę się z niemi rozłączyć. Mam także przyjaciół w północno-amerykańskiem poselstwie, z któremi z przyjemnością obcowałem — teraz już wszystko to przepadnie... „Spodziewam się, że wkrótce napiszesz do mnie — a będę się zawsze cieszył, słysząc — iż ci się powodzi.“

Jakże często w biegu mego życia te same literalnie słyszalem słowa: ten że sam ból rozstania się z równie serdecznemi przyjaciółmi uczuwałem!

Ale korespondent taki, jak ja, musi nauczyć się znoszenia najcięższych rzeczy. Jak gladjator w arenie musi stać zawsze w pogotowiu do boju. Zgubiony — gdy się waha — lub gdy jest tchórzem. Gladjator bieży na spotkanie miecza, który wyostrzony został na pierś jego — spieszący się sprawozdawca, albo wędrowny korespondent oczekują rozkazu, który ich tu lub tam wysyła. W wir walki — czy na bankiet — wszystko jedno. Tutaj powiadają, tylko: „Stój w pogotowiu — i idź.“ O 3 godzinie już byłem w drodze, ale że w Bajonnie zrobiłem krótki odpoczynek, przybyłem dopiero następnej nocy do Paryża. Prosto z kolei pędzę do „Grand Hotel“ i pukam do drzwi p. Bennet'a:

— Proszę wejść! słyszę głos jakiś — Gdym wszedł spoczywał już p. Bennet w łóżku...

— Kto pan jesteś? — spytał.

— Nazywam się Stanley — odpowiedziałem...

— Doskonale... Siadaj pan. Mam o ważnych rzeczach do pomówienia z panem.

Ubrawszy się w szlafrok, zadał mi p. Bennet nagłe pytanie.

— Gdzie, wedle pańskiej opinji, Livingston przebywa,

— Prawdziwie — nie wiem tego.

— Sądzisz pan — że żyje jeszcze?

— Może tak być, ale może także i nie być — odrzekłem.

— No, co do mnie, myślę, że żyje — i przypuszczam. żeby go znaleźć było można. Mam zamiar właśnie wysłać pana do niego.

— Co? — odpowiedziałem. Pan chcesz rzeczywiście, abym się udał do wnętrza Afryki poszukiwać Livingstone'a:

— Tak — mam w istocie ten zamiar. Szukaj go pan, gdziekolwiek by się nie znajdował, a i dowiedz się o nim, co tylko będziesz w stanie — dodał w głębokiem zamyśleniu, jakby mówiąc sam do siebie — może biedny starzec cierpi jakikolwiek brak; w takim razie, musisz i powinieneś mu pan pomódz i zaopatrzyć go we wszystko, czego potrzebuje. Naturalnie, możesz pan sobie w tej sprawie własne plany ułożyć i wedle swego osobistego tylko zdania postępować ale — z n a j d ź p a n L i v i n g s t o n e'a!

Bądź co bądź zdziwiło mnie to jednak, że tak bez wszelkich ceremonji, wyslany mam być na poszukiwanie człowieka, którego ja i wszyscy naówczas za umarłego uważaliśmy, to też zapytałem:

— Czyś pan też poważnie koszta tej maleńkiej wycieczki obliczył?

— Jakaż może być ich wysokość? — odrzekł.

— Burton'a i Speke'go podróże do wnętrza Afryki kosztowały coś między 3000 a 5000 funtów szterlingów: ledwie uwierzyć mogę żeby się to dało zrobić za mniej, jak 2500 funt. szterlingów.

— Dobrze — my to jakoś zrobimy. Podnieś pan najprzód 1000 fut. szterlingów, a gdy te wyjdą, drugi i trzeci i czwarty, ale — znajdź pan Livingstone'a!

Zdziwił mnie, ale nie zbił z tropu bynajmniej ten rozkaz, gdyż wiedziałem, że p. Bennet ma twardą głowę i co raz postanowi, przeprowadzić musi. Pomyślałem jednak o tej możebności, że mógł przecież nie dosyć dojrzałe jeszcze wszystkie za i przeciw rozważyć — i spytałem.

— Słyszałem, że pan po śmierci swego ojca chciałeś sprzedać „Heralda?" —

— W takim razie jesteś pan fałszywie powiadomionym — bo niema dosyć pieniędzy w całym Nowym Yorku na zakupienie podobnego dziennika. Ojciec mój zrobił z niego wielką gazetę — ja zaś chcę go jeszcze olbrzymiej rozwinąć. Chcę dziennik nowin, w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu, zeń zrobić. Wszystkie nowości, które świat interesować mogą, znajdować się w nim muszą, — co zaś do kosztów, w takim razie nie oglądam się na nie wcale!

— Na to nie pozostaje mi już nic do odpowiedzenia — odrzekłem. Czy mam natychmiast udać się do Afryki i poszukiwać Dra. Livingstone'a.

— Nie — przyjrzyj się pan pierwej poświęceniu Sueskiego kanału a następnie popłyń w górę Nilu. Jak słyszę Baker chce wyruszyć do wyższego Egiptu. Staraj się pan, co do tej ekspedycji, czegoś bliższego się dowiedzieć — i opisuj w podróży wszystko, co dla turysty znajdziesz godnego widzenia i uwagi. Napisz pan praktyczny przewodnik podróży po Niższym Egipcie i zakomunikuj nam pan jednocześnie, co się tam widzieć musi. Poczem musisz pan udać się do Jerozolimy, bo dowiaduję się, że kapitan Warren interesujące odkrycia tam czyni. Ztamtąd odwiedź pan Konstantynopol i sprobuj wymiarkować i wyjaśnić nam powody nieporozumień i rozterki między Sułtanem a Khediwem, — poczem — czekajno pan tylko — poczem, możesz udać się do Krymu i obejrzeć dawnych walk pobojowiska. Ztąd, przez Kaukaz, podążysz do Kaspijskiego morza. Słyszę, że się tam przygotowuje rossyjska wyprawa do Chiwy. Ztamtąd pojedź pan przez Persję do Indji. Napisz nam pan sprawozdanie o Tripolisie. Bagdad leży na drodze do Indji, odwiedź więc pan to miasto i donieś nam nieco o projektowanej kolei przez Eufratu dolinę. Z Indji możesz się za Livingstone'm obejrzeć. Może usłyszysz pan, że znajduje się już w powrotnej drodze do kraju; gdyby jednak ten wypadek nie zachodził — wówczas musisz się pan udać do wnętrza Afryki. Prawdopodobnie znajdziesz go pan przy życiu. Staraj się pan wyszukiwać, zbierać i nam nadsyłać wszelkie wiadomości o nim — a gdyby miał już nieżyć — musisz dla uwiarogodnienia tej wieści, o konieczne postarać się dowody. Oto wszystko. A teraz, bądź pan zdrów i niech ci Bóg towarzyszy.

— Bądź pan zdrów! — rzekłem — co jest dla człowieka możliwem, uczynię w tej sprawie — a Bóg będzie mi pomagał.

W kilka godzin po tej rozmowie, Stanley znajdował się w podróży do Marsylji i Suezu. Jak widzieliśmy, dana mu przez p. Benneta marszruta nie wiodła go wprost do środkowej Afryki. Uczestniczył tedy, wedle polecenia, przy otwarciu Suezkiego kanału, zwiedził Egipt i Jerozolimę i obejrzał pola bitew w Krymie. Podróż przez Kaukaz i Persję doprowadziła go do Indji; gdzie wsiadłszy na okręt w październiku 1870, podążył do Zanzibaru. Droga wiodła go koło wysp Maurycego i Seszelskich; 6. Stycznia przybył Stanley do Zanzibaru położonego na wschodnio-afrykańskiem wybrzeżu. Z morza widziany Zanzibar przedstawia, jak większość mahometańskich miast, imponujący obraz, ponieważ najznakomitsze i największe handlowe i mieszkalne domy, wzdłuż wybrzeża są pobudowane. Najpiękniejszym i najszlachetniejszej budowy z tych gmachów, jest zameczek Sułtana Saida Barghasz'a, z dumnie wiejącą nad blankami jego murów, krwawo-czerwoną chorągwią Mahometa. I inne także flagi powiewają, poruszane świeżym wiatrem od morza: angielkie, amerykańskie, niemieckie i francuzkie; każda z gmachu swego konsulatu. Największa część, graniczących z morzem domów handlowych i mieszkalnych, należy do bogatych Arabów, Parsów lub Indjan; lecz w ogólności wszystkie nadmorskie narody biorą udział w handlu Zanzibaru. Na morzu obok wyspy Zanzibar, znajduje się jeszcze mnóstwo małych wysepek, każda ze swojem srebrzystem wybrzeżem i swoją zieloną laguną, która tak od ciemnego błękitu południowego nieba, jak i od szafirowych wód Indyjskiego oceanu równie uroczo się odcina. Pomiędzy temi wysepkami i mnóstwem niebezpiecznych topieli, wpływają ostrożnie okręty w zatokę, albo też z niej wypływają. Zatoka ta w swojem zabezpieczonem położeniu służy za wyborny port i jest zwykle przepełniona statkami. (C. d. n.)

KOŃ TRĘBACZA.

NOWELLETTA LUDWIKA HALEVY.

(Dok.) Udało mi się jednak w końcu obrócić się i usiąść; lecz właśnie w chwili — gdy przecierając oczy, napełnione piaskiem, zadawałem sobie pytanie: co też po tej całej awanturze stać się mogło z moim nędznikiem siwo-jabłkowitym? — ujrzałem zsuwającą się po nad głową moją, wielką nogę końską; następnie zaś ta noga końska, oparłszy się z pewną łagodnością zresztą, o moje piersi, przewróciła

mnie delikatnie napowrót na ziemię, na wznak tym razem. Wówczas ogarnęło mnie wielkie zwątpienie o sobie i czując się zupełnie niezdolnym do nowego wysiłku, pozostałem w nadanej mi pozycji, nie przestając pytać się samego siebie, jakiego to konia kupiłem od Cheri'ego, zamknąwszy oczy i — oczekując pewnej śmierci.

Naraz usłyszałem dziwne deptanie naokoło siebie; mnóstwo maleńkich, twardych przedmiotów zaczęło uderzać mnie po twarzy. Otworzyłem oczy i spostrzegłem Brutusa, usiłującego z szybkością nie do wiary i ze zręcznością bardziej jeszcze zadziwiającą, za pomocą nóg przednich i tylnich — zagrzebać mnie w piasku... Pracował nad tem, jak umiał najlepiej, biedny zwierz; a od czasu do czasu, zatrzymywał się, dla przyjrzenia się swojej robocie; poczem, podniósłszy łeb do góry, wydawał lekkie rżenie i znów zaczynał swoją maleńką pracę. Ta operacja trwać mogła dobrze trzy lub cztery minuty, a po upływie tego czasu, Brutus sądząc widocznie, żem zakopany dostatecznie, padł z wielką czcią przed mogiłą moją na kolana!... najdoskonalej na kolana!... Odmawiał — jak przypuszczam — małą modlitewkę nademną... Ja patrzyłem na niego. Interesowało mnie to nadzwyczajnie.

Dokończywszy tej modlitwy — Brutus zrobił lekką kurbetę, oddalił się na kilka kroków, zatrzymał się; nagle, galopem jął obiegać, ze dwadzieścia razy może, okrąg małej polanki, w środku której mnie pogrzebał. Galopował bardzo poprawnie, równym biegiem, niosąc pięknie głowę, dobrą nogą opisując w okrąg mnie najdokładniejsze koło. Co do mnie, biegłem za nim spojrzeniem; budziło to jednak we mnie pewne nie miłe uczucie widzieć go w ten sposób kołującego, kołującego, kołującego! Znalazłem siłę do wykrzyku: Stop! stop! (Stój! stój!) Koń się zatrzymał i zdawał się zaambarasowanym, zadając sobie niewątpliwie pytanie, co mu jeszcze do zrobienia pozostało? Lecz nagle zobaczył mój kapelusz, — który w chwili mego koziołka, rozłączył się ze mną — i natychmiast powziął nową decyzją: postąpił wprost ku kapeluszowi, który pochwyciwszy w zęby, puścił się galopem, wielkim galopem tym razem, przez jedną ze sześciu alei, prowadzących do mego grobu.

Oddalił się, zniknął; zostałem sam. Byłem zaintrygowany, pozytywnie zaintrygowany,

Otrząsnąłem z siebie maleńką warstwę ziemi, którą byłem okryty i podnosząc się przy pomocy obu rąk i prawej nogi — o poruszeniu lewej ani myśleć można było — zdołałem się doczołgać do małej, odarnionej pochyłości, na rogu z jednej alei. Raz dostawszy się tutaj, mogłem usiąść jako tako i począłem krzyczeć z całej siły płuc moich: „Hola! hej! hop! hop!“ Ani szmeru ani odpowiedzi. Lasek był zupełnie pusty i milczący. Pozostawało tylko czekać na jakiegoś przechodnia i prosić go o pomoc w tym kłopocie. Leżałem tak już wielkie pół godziny, w tej nie miłej sytuacji — gdym nagle spostrzegł w wielkiem oddaleniu, całkiem na końcu tej samej alei, którą Brutus był pomknął, jego samego, powracającego tym samym galopem, jakim popędził, oddalając się odemnie. Ogromny tuman kurzu towarzyszył koniowi. Powoli, powoli odkryłem w tym obłoku mały powozik, zaprzężony poney'em, potem w tym powoziku kobietę, powożącą osobiście, a za tą damą maleńkiego grooma.

W chwil kilka potem Brutus okryty pianą, zatrzymał się przedemną, upuścił kapelusz u stóp moich i zarżał — co zapewne miało znaczyć: „Spełnilem mój obowiązek, oto pomoc.“ Lecz w tej chwili cóż mnie obchodził Brutus i objaśnienia, jakie mi dawał. Dla nikogo już nie miałem spojrzenia, tylko dla wróżki, co mi pospieszyła z pomocą — i która zeskoczywszy ze swego powoziku, podchodziła ku mnie polotną nóżką. Ona również ze swej strony przypatrywała mi się ciekawie — i nagle dwa okrzyki zabrzmiały jednocześnie:

— Pani de Noriolis!...

— Pan de la Roche-Targé!...

Jerzy, opowiadałeś mi, przed chwilą, o swojej ciotce i o tem, jak cię ożeniła całkiem młodo, jakby ręką obrócił, nie zostawiwszy ci czasu do namysłu, do odsapnięcia. I ja także mam ciotkę, i pomiędzy nią a mną wieczysta a zacięta od lat wielu toczyła się walka. „Żeń się“ — Nie chcę się żenić. — „Czy pragniesz młodej panny? Mam pannę A., pannę B., pannę C. — Nie chcę się żenić, powtarzam. — „A może ci chodzi o wdowę? Mam panią D., panią E., panią F.“ — Nie chcę się żenić!

Pani de Noriolis figurowała zawsze w pierwszym szeregu, w serji wdów; i zauważyłem, że ciotka moja kładła nacisk, z widoczną przychylnością, na wszystkie uroki i korzyści, jakiebym znalazł z nią w małżeństwie. Nie potrzebowała mi mówić, że pani de Noriolis była piękną, gdyż to biło w oczy — i że była bardzo bogatą — bom zresztą wiedział o tem. Ale przedstawiała mi, że ś. p. pan de Noriolis był głupcem, który posiadał jedynie talent zrobienia swojej żony zupełnie nieszczęśliwą; że więc byłoby nader łatwą rzeczą dla drugiego męża wzbudzić w niej miłość dla siebie.

Potem, po długiem wymawianiu cnót, wdzięków i zasług pani de Noriolis, ciotka moja, osoba przebiegła i znająca moją słabą stronę — wydobywała ze swego sekretarzyka kartę topograficzną i rozkładała ją starannie na stole.

Był to plan okręgu Chatellerault, plan bardzo dokładny i bardzo szczegółowy, który ciotka osobiście poszła kupić w ministerjum wojny, jedynie dla przekonania mnie, że powinienem zaślubić panią de Noriolis. Oddalone ledwo o trzy kilometry od siebie zamki de Noriolis i de la Roche-Targé, figurowały na tym planie; ciotka moja, własną ręką, małem kółkiem, narysowanem czerwonym atramentem, figlarnie połączyła te dwie posiadłości i zmuszała mnie patrzeć na to kółko czerwone i mówiła mi: „Ośmset hektarów, bez okruszyny obcego gruntu, gdyby połączyć

Noriolis z la Roche-Targé, — otóż to mi interes dla zamiłowanego, namiętnego myśliwca!"

Zatykałem sobie uszy, tak pokusa była wielką i powtarzałem moją wieczystą zwrotkę: „Ja się nie chcę żenić!" Alem się bał pani de Noriolis, kompletnie się jej bałem; ilekroć spotkałem się z nią, zawsze ją widziałem otoczoną, jakby aureolią, małem czerwonem kółkiem mojej ciotki i mówiłem do siebie: „Kobieta urocza i dowcipna i rozumna, której pierwszy mąż był głupcem — i to i owo — i ośmset hektarów ziemi!... Uciekaj, nieszczęśliwy, ratuj się! — ponieważ postanowiłeś się nie żenić!"

I uciekałem!... ale na ten raz, jakże tu uciec, jakim sposobem? Leżałem przed nią, w najśmieszniejszem położeniu, rozciągnięty na trawie, z włosami w nieładzie, pokryty piaskiem i z nogą całkiem zesztywniałą. Pani de Noriolis zbliżała się fertyczna, wystrojona — wciąż jeszcze otoczona aureolą z czerwonego kółka — i zbliżywszy się do mnie, odezwała się:

— To pan, panie de la Roche-Targé, istotnie, pan? Co pan tu robisz, mój Boże! Co się panu przytrafiło?

Wyznałem lojalnie całą moją przygodę.

— Nie jesteś pan ranny, przynajmniej?

— Nie, nie, bynajmniej nie jestem ranny. Coś mi się popsuło w nodze; ale to nic znacznego — jestem pewny.

— I któryż to koń spłatał panu tak złośliwego figla?

— Ależ ten oto...

I pokazywałem ręką Brutusa pani de Noriolis, Brutusa który stał tuż blisko nas, na swobodzie, spokojny, gryząc z apetytem małe wypustki janowca.

— Jak to, to on, ten poczciwy koń? Oh! on w zupełności wynagrodził winy swoje, zaręczam panu. Opowiem to panu, ale później. Potrzeba naprzód, abyś pan powrócił do siebie i to natychmiast.

— Nie mogę postąpić ani kroku.

— Ależ ja pana odprowadzę, choćbym cię miała skompromitować.

I zawołała Boba, małego groma, i wzięła mnie łagodnie za jedno ramie, gdy jednocześnie Bob brał mnie za drugie, i pomogła mi z groomem razem wsiąść do jej powoziku. W pięć minut potem toczyliśmy się oboje w kierunku la Roche-Targé; ona trzymając lejce i lekką ręką prowadząc swego poneya; ja wpatrzony w nią, wzruszony, zmięszany, zaambarasowany, śmieszny, ogłupiały. Byliśmy sami w powoziku. Bobowi polecono, aby dojechał na Brutusie do domu, który najposłuszniej dał się pochwycić.

— Wyciągnij się pan — mówiła pani de Noriolis — wyprostuj pan dobrze nogę; ja będę wiozła pana powolutku dla uniknięcia stuknięć.

Słowem, powiedziała mi mnóstwo rzeczy ujmujących i słodkich. Następnie ujrzawszy, żem się dobrze zainstalował:

— Opowiedz mi pan — rzekła — w jaki sposób spadłeś, a ja opowiem panu potem, wśród jakich okoliczności podążyłam panu z pomocą. Zdaje mi się, że musi być pocieszna awantura z tym koniem!

Zacząłem opowiadanie, lecz skoro doszedłem do usiłowań czynionych przez Brutusa w celu wysadzenia mnie z siodła, po owych dwóch strzałach:

— Czekaj pan! Już rozumiem — wykrzyknęła — już rozumiem wszystko. Pan kupiłeś konia trębacza.

— Konia trębacza?

— Ależ tak, tak, niezawodnie — i tem się wszystko wybornie tłumaczy. Widziałeś pan więcej zapewne jak dwadzieścia razy scenę odgrywaną w cyrku cesarzowej przez konia trębacza. Przypominasz pan sobie przecież tego trębacza od afrykańskich strzelców, który wjeżdża na siwym koniu w arenę — a potem ścigających za nim Arabów, którzy wpadają i poczynają strzelać do tego trębacza od afrykańskich strzelców. Biedny trębacz otrzymuje ranę i spada z konia — gdy więc strzał padł, a pan nie spadałeś, koń oburzony i nie mogąc znieść tego, żebyś pan zaniedbywał do tego stopnia swoją rolę, zrzucił pana na ziemię. A gdyś pan leżał już na ziemi, cóż zrobił koń?

Opowiedziałem pracę Brutusa w celu przyzwoitego pogrzebania mnie.

— Koń trębacza — ciągnęła dalej — i zawsze koń trębacza! Widząc, że pan jego ranny, obawia się, żeby Arabowie nie wrócili i nie dobili go. Cóż robi wtedy koń? Grzebie trębacza od strzelców afrykańskich. Potem odbiega galopem — nieprawdaż?

— Tak jest, wielkim galopem.

— Unosząc sztandar, który nie powinien wpaść w ręce Arabów.

— On uniósł mój kapelusz...

— Wziął, co mógł wziąć. I dokąd-że to tak pędzi galopem koń trębacza?

— Ach! jestem w domu! jestem w domu! — zawołałem i ja z kolei — pędzi szukać wiwandjerki.

— Tak jest... Pędzi szukać wiwandjerki — a tą wiwandjerką dzisiaj — jak się to panu podoba — byłam ja, hrabina de Noriolis. Wpadł galopem na podwórze mego zamku ten pański wielki koń siwy. Stałam właśnie na peronie, wkładając rękawiczki, gotowa wsiąść do powoziku. Wtem ludzie stajenni zbiegają się na widok konia osiodłanego, okiełzanego, a bez jeźdźca, wpadającego tak szalonym biegiem, z kapeluszem w pysku. Chcą go ująć, ale usuwa się im, ucieka, biegnie prosto do peronu i pada na kolana przedemną. Ludzie moi znów się zbliżają do niego i probują go znowu schwycić w tej pozycji, ale koń się podnosi z miejsca, ucieka galopem i stanąwszy przy sztachetach żelaznych, ogradzających podwórzec zamkowy, obraca się i patrzy na mnie. Wołał mnie, zapewniam pana, że mnie wołał. Widząc to, rozkazuję moim ludziom nie zajmować się dłużej tym koniem, wskakuję do mego powoziku i jadę. Koń wypada do lasu wytężo-

nym galopem, ja pędzę za nim, drogami nie zawsze odpowiedniemi dla mego powoziku — bądź co bądź, pędzę jednak za nim, przybywam i znajduję pana...

W chwili, gdy pani de Noriolis domawiała tych słów ostatnich, tył powoziku doznał przerażającego wstrząśnienia. Obracamy się jednocześnie oboje i spostrzegamy za sobą w powietrzu głowę Brutusa, który się trzymał z tyłu stojąco, jak gdyby cudem... Powodem bowiem powyższego wstrząśnienia był znowu Brutus! Niosąc na sobie Boba, biegł za powozikiem, od kilku chwil; widząc jednak, że miejsce grooma z tyłu było wolne, schwycił, jak prawdziwy artysta, z wielką zręcznością odpowiednią chwilę, aby nam dać nową próbkę tego, co umiał, przez wykonanie najświetniejszej ze swoich dawnych sztuk cyrkowych. Jednym skokiem postawił przednie swoje nogi na tylnem miejscu w powoziku i dokonawszy tego, spokojnie odbywał dalszą drogę, truchtując na dwóch tylko tylnych nogach. Bob, osłupiały, z ciałem wstecz odrzuconem, głową zwisającą ku dołowi — czynił próżne wysilenia, ażeby konia napowrót na czterech nogach postawić.

Co do pani de Noriolis, taki ją strach na ten widok opanował, że wypuściła lejce z rąk i z największą prostotą rzuciła się w moje objęcia. Jej uwielbienia godna, maleńka główka, stoczyła się przypadkiem na moje ramię i usta moje dotykały jej włosów. Lewą ręką starałem się przytrzymać lejce, prawą panią de Noriolis; noga okropnie mnie bolała — i czułem, że mnie ogarnia nadzwyczajne pomięszanie. W ten sposób odbyła pani de Noriolis swój pierwszy wjazd do zamku de la Roche-Targé. Gdy powróciła do niego pewnego dnia o północy, w sześć tygodni potem — zostawszy w ciągu dnia panią de la Roche-Targé:

— Co to jednak jest to życie — rzekła do mnie — nic by z tego wszystkiego nie było się zdarzyło, gdybyś pan nie był kupił konia trębacza!

Pogadanka.

Nie będziemy dziś mówili o karnawale, o którym już pisaliśmy przed dziesięciu dniami, o zamierzonych balach i maskaradach nieudałych, a natomiast poświęcimy słów kilka rzeczom mniej zabawnym, które nam ciężą na sercu.

Przedewszystkiem musimy zanotować arcysmutne zdarzenie, mianowicie zawieszenie przez policję w ubiegłym tygodniu pisma literackiego „Tydzień“, które założone w r. 1874, przez p. Rogosza z wielkim nakładem i rzadką znajomością rzeczy, istniało lat pięć oddając piśmiennictwu krajowemu niemałe usługi. Ktokolwiek czytał »Tydzień“ wie, że wciągu pięcioletniej karjery wyprowadził on na widownię kilka nowych talentów; wystarczy, jeśli wymienimy Marję B., Sewera i Zofię R. że czytelnikom swoim podawał zdrowy pokarm i mimo ogólnej obojętności jak mógł szerzył światło. Wprawdzie w czasach ostatnich, zaczął on może zbyt jaskrawo występować w obronie pewnych przekonań w kraju niepopularnych, lecz czyż to było dostatecznym powodem do zawieszenia wydawnictwa? Przecie pisma na to istnieją, aby w nich ścierały się zdania, przyczyniające się do wyrobienia opinji. Jeżeli wszyscy na jednę nutę śpiewać zaczną, kraj znudzi się i uśnie tak twardo, że z letargu pewnie się już nie przebudzi. Nie chowajmy więc światła pod korzec, nie gaśmy go, lecz przeciwnie starajmy się by jak najszerszą rozlewało się strugą. W ciągu niespełna pół roku, policja lwowska zawiesiła „Ruch literacki“ i „Tydzień“. Tak więc w Galicji została tylko „Strzecha Ojczysta“. Jak na sześciomilionową prowincję, jedno pismo beletrystyczne, to zbyt mało, miejmy więc nadzieję, że dawny Tydzień pojawi się znowu w nowej sukience, w której będzie już może wolnym od ataków nieubłaganej policji.

Miła niespodzianka przygotowuje się dla naszych artystów i miłośników sztuki. Oto znalazło się grono ludzi, którzy gorliwie nad tem pracują, aby na tegorocznej wystawie sztuk pięknych w Monachjum, która będzie świetniejszą niż wszystkie dotychczasowe, artyści polscy urządzili salon osobny, celem pokazania, jak wygląda sztuka polska. Na ostatniej Wystawie paryskiej, tak samo jak na paryskiej w r. 1867 i wiedeńskiej w r. 1873, utwory polskiego dłuta i pędzla, były wystawione w oddziałach tych państw, których poddanymi byli ich twórcy, i dlatego cały świat zna już dziś nazwiska Matejki, Siemiradzkiego, Brandta, Kossaka i innych, lecz rzadko kto wie z cudzoziemców że ci panowie nie są ani Rosjaninami, ani Austrjakami, ale Polakami, którzy mają już swoich artystów, swoją sztukę i swoją szkołę, różniącą się pod wielu względami od wszystkich dotychczasowych. Myśl takiej wystawy zbiorowej rzucił pierwszy H. Siemieradzki, podczas uczty urządzonej w ubiegłym miesiącu w Rzymie. na uczczenie Jana Matejki; dziś zajmuje się nią gorliwie prasa warszawska, ale ponieważ nad jej urzeczywistnieniem powinni pracować wszyscy artyści polscy, więc odzywamy się niniejszem do malarzy i rzeźbiarzy mieszkających w Galicji, aby porozumiawszy się z kolegami w innych dzielnicach Polski — przeprowadzili to, co w obec całej Europy świadczyć będzie o naszej żywotności. Niech świat się dowie, że Polska żyje duchowo samodzielnie, chociaż jej zabrano samodzielność polityczną!

Mówią że w kraju bieda, każdy się kuli i narzeka, książek nikt nie kupuje, a jednak gdy Rubinstein zawitał, znalazło się niemało takich, którzy pospieszyli na koncert głośnego Izraelity. I nie tylko Lwowianie przepłacali bilety. Z prowincyi, ba! nawet z odleglejszych stron kraju spieszyli znawcy i nieznawcy na koncert, aby się pokazać. W kraju nędza — a mimo to napchano kieszenie pana Rubinsteina kilkoma tysiącami guldenów, jak gdyby jego współwyznawcy nie dość jeszcze zabrali nam pieniędzy! Czyż nigdy końca nie będzie tej bezmyślnej fanfaronadzie polskiej, która po dziś dzień tyle nas już kosztuje? Zaiste, patrząc na to co się dzieje, żal ściska za serce i w oku łza się kręci, bo dopóki sobie nie powiemy, że najbliższa koszula ciała, dopóki nie zaczniemy myśleć o tych, którzy w kraju żyją i dla niego pracują, dopóty o naszem odrodzeniu mowy nie będzie. Nie mamy pieniędzy na zakupienie jakiego nowego arcydzieła Matejki, nie mamy pieniędzy na kuchnie ludowe, nie mamy pieniędzy na postawienie choćby najskromniejszego pomnika takiemu genjuszowi jak Adam Mickiewicz, a mamy pieniądze dla

Rubinsteinów, którzy zabrawszy nam tysiące, drwić sobie potem z nas będą.

Mówiliśmy w zeszłym numerze na tem miejscu, o wojnie jaką znany powieściopisarz T. T. Jeż, wydał w warszawskich „Kłosach“ tamtejszym krytykom, a między nimi głównie p. E. Lubowskiemu. W przedostatnim numerze tegoż pisma znaleźliśmy odpowiedź pana Lubowskiego. Nie przeczymy że p. L. ma słuszność gdy zarzuca Jeżowi, że w dziełach jego znajduje się bardzo wiele figur nieestetycznie pojętych i źle wykończonych, ale mimo to żadną miarą nie możemy pochwalić formy, w jakiej p. Lubowski przemawia do Jeża, który bądź co bądź jest autorem zasłużonym. Końcowa zaś uwaga przypominająca autorowi Uskoków gramatykę, trąci brutalstwem. Tak się nie odpowiada pisarzowi, który stworzył kilka arcydzieł. Zresztą kto tak przemawia? Oto p. Lubowski, nie mogący poszczycić się ani jedną pracą wybiegającą po za granice miernoty.

Lekarze lwowscy żegnali temi dniami Dr. Biesiadeckiego, który wyjeżdża jako delegat rządu austrjackiego do Astrachanu, celem obserwowania dżumy azjatyckiej, zagrażającej Europie. Ze strony p. Dr. Biesiadeckiego mającego rodzinę, jest to prawdziwe poświęcenie, że postanowił aż tam pojechać, gdzie okropna epidemja coraz bardziej się sroży — i dla tego cały kraj posyła mu na drogę: szczęść Boże! z życzeniami rychłego powrotu. Dżuma zagnieździła się już w Rossji na dobre — jeżeli wszystkie rządy europejskie nie wezmą się za ręce, aby ile możności położyć skuteczną tamę jej pochodowi, do tylu nieszczęść, które w ostatnich latach nawidziły Europę, gotowa przyłączyć się najstraszniejsza, nazywające się morowem powietrzem. Oby nas Bóg przynajmniej od tego zachował!

OKRUSZYNY.

LITERATURA. — SZTUKA — WIEDZA.

— P. Przyborowski, znany powieścio-pisarz warszawski, ogłosił temi dniami „Historję Polski“ popularnie i krótko opowiedzianą, o której dla tego wspominamy, że autor użył w niej pierwszy raz podziału oryginalnego. Oto całe dzieje Polski podzielił on na trzy okresy. Okres pierwszy nazwał: Walka Polski z Niemcami; drugi: Walka Polski z Turcją; trzeci: Polska w upadku.

— Piotr Chmielowski, bez zaprzeczenia najsumienniejszy między młodymi krytykami warszawskimi, zamieścił w „Ateneum“ bardzo zajmującą pracę pt. „Mickiewicz i Towiański.“

— Stanisław Grudziński napisał poemat pt. „Dwie mogiły.“ Rzecz wzięta z podań ludu ukraińskiego.

— W Warszawie mają powstać następujące nowe pisma: Kronika lekarska — Ogrodnik Polski — Rzemieślnik — Opiekun domowy pożytecznych zwierząt, i nakoniec — Telefon warszawski. Ostatnie pismo będzie satyryczne.

— Z pozostałości literackiej po ś. p. Aleksandrze hr. Fredrze znowu ukaże się na scenie lwowskiej komedja w 1. akcie p. t. „Pan Benet“.

— Na konkurs imienia Fredry nadesłano komedję w 5. aktach p. t. „Brat i siostra“.

— Warszawski gabinet zoologiczny w ostatnich czasach uzyskał tyle ofiar od osób prywatnych, iż zbiory jego niepospolicie pomnożyły się, podnosząc zarazem znaczenie ich pod względem naukowym.

1. Hr. Konstanty Branicki, ten możny pan znawca i żarliwy miłośnik przyrody, nie szczędzący własnych funduszów, gdy idzie o dobro nauki, słusznie zatem „opiekunem i protektorem gabinetu“ nazywany, nabył właśnie w Paryżu bądź na wystawie, bądź to w zbiorach prywatnych (podług wyboru prof. Taczanowskiego), dla tegoż gabinetu najrozmaistze okazy.

Są tu:

z wystawy p. Boucard — komplet gautemalskich ptaków, składający się z dziewięćdziesięcu kilku gatunków (w tej liczbie rzadkości, jak *geranospisa atrata* rzadka bardzo w kolekcjach);

z sekcji kanadyjskiej — pewną ilość psów, ptaków wodnych (między temi pierwszeństwo oddać należy kanadyjskiemu łabędziowi (*cygnus leuccinator*);

z magazynu przedmiotów zoologicznych p. Bouvier — sto gatunków ptaków (głównie z rzędu grzebiących);

z magazynu p. Emila Deyroll — czterdzieści kilka gatunków kolibrów wypchanych (niektóre bardzo rzadkie i ozdobne), wreszcie pewna ilość papug i drobnych ptaków.

2. Znany chiński podróżnik p. Armand Dawid ofiarował dla gabinetu kilkanaście gatunków ptaków, między temi parę tylko faunie chińskiej właściwych.

3. P. Oberlhür z Rennes przeznaczył pewną ilość egzotycznych motyli i tęgopokrywych.

4. Dr. Marmotemps przysłał pudło owoców francuzkich i hiszpańskich.

5. Dyrektor gabinetu wiedeńskiego podarował czterdzieści i kilka gatunków ptaków australskich.

6. Ks. Władysław Lubomirski zakupił w Paryżu i ofiarował 21 gatunków ptaków drapieżnych i 15 gatunków papug.

7. P. Sztolcman nadesłał z Peru w początkach grudnia r. z. przeszło 150 gatunków ptaków, z których przeszło pięćdziesiąt zbiory nasze nie posiadały; ze zwierząt ssących okazy: łasice zajączka dotąd nieokreślonego, kilka nietoperzy, kilka gatunków myszowatych i małego dydelfa; z gadów jaszczurki i żaby; ryb kilkanaście gatunków; z owadów obfitość motyli; zbiór tęgopokrywych zawierający rzadkie i bardzo ciekawe formy; zbiór muszli lądowych rzadkich co do formy, ważnych dla nauki; zbiory pająków, raków i t. p.

8. P. Jankowski wreszcie, dawny towarzysz doktora Dybowskiego, osiadły na wysepce Askolda, położonej przy brzegu morza Japońskiego w bliskości Władiwostoku, opatrzył gabinet różnymi gatunkami ptaków i motyli arcycennych.

WYNALAZKI.

— Wstawiane zęby. Czytamy w dziennikach paryskich, że niejacy panowie David i Magitot, przedstawili Akademii francuzkiej nowy wynalazek, wstawiania nowych na miejscu zepsutych zębów, które w przeciągu najwyżej dni dwunastu mają zapuszczać korzenie! Zaręczają oni również, że na sześćdziesiąt dotychczas podjętych operacji, udało im się pięćdziesiąt i siedem.

Rozmaitości.

Góra cierniowa. Nie daleko Kronsztadu, stolicy Siedmiogrodu, u stoku Karpat wspaniałych, rozwija się płaszczyzna Bucei, a wśród niej, wznosi się góra samotna, od innych odłączona, przecinająca szczytem dumnie obłoki, nazywana przez krajowców „Dorn“ — Górą ciernistą, górą boleści.

Przez lato morze szmaragdowe traw bujnych zalewa całą tę żyzną płaszczyznę, a z wiosek okolicznych zbierają się tu pasterze z licznemi trzodami. Pierwszy jednak podmuch wichru jesiennego, wypłasza ztąd ludzi, również jak zwierzęta. Wszystko wraca niżej w doliny, pod dachy ochronne, uciekając przed zimnem, które tu przychodzi nagle, z niezwykłą ostrością i masą śniegu. Jedyny znak życia daje wtedy od czasu do czasu, mały klasztor, u stóp góry „Dorn“ zbudowany, a zamieszkały przez kilku mnichów, greckiego wyznania. Sama góra jest przez całą zimę niedostępną, i byłoby szaleństwem, chcieć ją wtedy zwidzać. Bóg — jak utrzymują krajowcy — naznaczył ją zdawna. Nic na niej nie rośnie, ani drzewo, ani krzew najlichszy. Na jej nagiej, skalistej pewierzchni, jedynie śmierć panuje.

Niegdyś w tej wiosce — jak niesie legenda — mieszkał pasterz bogaty, z swoją piękną, jedyną córką, i młodym najemnikiem. Pokochali się młodzi, a chłopiec był o tyle śmiałym, że poprosił gospodarza o rękę córki. Zrazu odtrącił gospodarz zuchwalca, z całą pychą bogacza, wreście łzy jedynaczki zmiękczyły jego twarde serce, w te więc słowa do sługi przemówił:

— Wysoko sięgasz, Marko! Po najpiękniejszą i najbogatszą. Dajże dowód, że miłość twoja, równa dumie szalonej. Viola będzie twoją pod jednym warunkiem: Całą zimę przepędzisz samotnie na górze. Jeżeli na wiosnę żyw powrócisz, wyznaczysz sam dzień wesela.

Viola ręce załamała w rozpaczy, nad tym strasznym ojca wyrokiem! Narzeczony jednak, przyjął rozkaz wesoło, i nawet potrafił swoją odwagą nieustraszoną w jej serce zbolałe wlać nieco otuchy.

Dnia 28. października, roku 1770, Marko pomodliwszy się w klasztorze, i zapaliwszy dwie świece na ofiarę przed ołtarzem Marji przeczystej! — pożegnał czule Violę we łzach tonącą, również przyjaciół, którzy go aż tu tłumnie odprowadzili, i znikł w krótce ze swoim wiernym psem, jedynym towarzyszem tej niebezpiecznej wyprawy, w obłokach, które górą w pół przecinały.

Snieg leżał już grubą warstwą, a gęste płaty, padając bez ustanku, coraz ilość tegoż powiększały. Marko pośpieszył urządzić się na zimę. Przez lato gromadził zapas drzewa i żywności, która miała mu aż do wiosny wystarczyć. Wydrążenie w skale, pełne mchu suchego, za dni ciepłych nanoszonego, miało służyć jemu i psu za sypialnie. Ogień musiał utrzymywać dniem i nocą, by nie zamarznąć.

Przeżył tu pięć długich miesięcy, walcząc wytrwale — nie z dzikiemi zwierzętami, te bowiem tak wysoko nie zapuszczały się nigdy — lecz z wrogiem stokroć straszniejszym, z wichrem ponurym, mrozem krew ścinającym, śniegiem coraz przybywającym.

Skończyła się zima. Wracają pasterze z trzodami, góry rozbrzmiewają echem ich pieśni i grą smętną fujarek. Marko żyje dotąd. Słyszy odgłos dzwonków, przeciągły ryk bydła, nawoływanie pasterzy, a głosu z piersi dobyć nie może, nóg oderwać od ziemi, jakby wrósł w nią, jakby z wielkiej radości oniemiał. Pies uszczęśliwiony widokiem ludzi, biegnie ku nim, wesoło naszczekując, chce im wyraźnie oznajmić, że pan jego żyje, że wyszedł zwycięzko z walki z zimą srogą i straszną samotnością. Pasterze z okrzykiem radośnym i zawiódłszy chórem pieśń weselną, postępują coraz wyżej. Wreście postrzegają już i oni postać nieruchomą na szczycie góry. Wołają więc całą piersią. „Witaj Marko! witaj bracie! Chodź odbierz rękę pięknej narzeczonej w nagrodę twej wytrwałości!“

Widzi i słyszy ich Marco, a ruszyć się nie może. Zbiera więc sił ostatek, upada na ziemię i stacza się z góry, ku swoim towarzyszom. Podejmują go z ziemi, piękna Viola otwiera mu ramiona... uśmiech szczęścia rozjaśnia na chwilę zapadnięte i wybladłe lica samotnika, oko zagasłe ożywia się ostatnim błyskiem — i Marko kona na łonie narzeczonej.

Pasterze na tem samem miejscu grób mu wykopali i krzyż kamienny postawili. Jak żył tu samotny, tak i grobu jego nikt nie odwidzał. Ludzie utrzymywali, że zgrzeszył ciężko przeciw Bogu, który górę pokrył wiecznym śmierci całunem, a Marko przestąpił zakaz Boski, odważając się ją zamieszkać. Grób samotny, wzbudzał grozę w całej okolicy. Jedna tylko nie bała się go odwidzać — była nią Viola.

Biedna Szalona przychodziła wiecznie i zawsze na grób samotny, w stroju ślubnym, z wieńcem róż na głowie. Z czasem z wieńca ciernie tylko zostały, strój pożółkł, włosy jej rozpuszczone, pobielały przedwcześnie. Ona jednak wiernie na grób chodziła, nucąc z cicha pieśń weselną, lub słodko rozmawiając z duchem niewidzialnym. Bóg wreście ulitował się nad nieszczęśliwą. Gdy przez kilka dni w domu się nie pokazywała, zaczęto ją szukać i znaleziono nieżywą na grobie narzeczonego.

Violę obok Marka pochowano. Odtąd miejsce to nazywa lud okoliczny „Dorn“ — górą ciernistą, górą boleści.

Zapalony szachista. Dwaj szachiści berlińscy zchodzili się każdej soboty do narożnego pokoju w pewnej kawiarni, gdzie w pobliżu okna w zacisznem miejscu, oddawali się bez przeszkody grze w szachy. Nie długo zostawali bez widza. Wkrótce zaczął przychodzić jakiś poważny pan, siadał koło szachownicy i paląc fajkę przypatrywał się uważnie ich walce. Czasem uśmiechał się i chrzakał w sposób wiele znaczący, ale nigdy nie robił żadnych uwag. Milcząc, wywierał swojem postępowaniem wrażenie znawcy i człowieka dobrze wychowanego. Po upływie roku powstała między przeciwnikami sprzeczka, a że nie mogli się porozumieć, zwrócili się do tak zacnego widza, prosząc go o rozstrzygnięcie. „Bardzo przepraszam“, — odpowiedział tenże zmięszany, — „ale ja nie gram w warcaby.“ „W warcaby?“ wykrzyknęli zdziwieni. — „Doprawdy że nie gram w warcaby!“ zapewniał nieznajomy. Chwilę trwało, zanim obydwa przyszedłszy do siebie po tak wielkiej niespodziance, zapytali szczególnego człowieka, jak może przypatrywać się z taką uwagą przebiegowi gry której nazwiska nawet nie zna. Na to odpowiedział: „W sobotę, czyszczą się u mnie pokoje, nie mogąc w domu pozostać, wybrałem sobie ten spokojny kącik... Czy może przeszkadzam panom?“

Jak dobry mąż wygląda. Dobry mąż wychodzi z żoną często na przechadzkę i nie lęka się magazynów mody. Pieniądze ma wtedy zawsze przy sobie, a pakunek, chociażby największy, nieść pod pachą uważa za wielką przyjemność. W nocy wstaje na palcach, aby dziecko zakołysać, a dla teściowej, która mieszka w jego domu, jest nadzwyczaj grzeczny. Przy stole jest kontent ze wszystkiego: zupa nie jest nigdy przesolona, a śmietanka w kawie nigdy cienka. Wierzy w słabe nerwy a na widok pierwszej łzy mięknie jak wosk. Jeżeli żona płacze, koi jej smutek, kupując suknię nową, modną i drogą; nudzi się żona, wyjeżdża z nią za miasto. Ilekroć żona przegra w karty, płaci za nią bez wahania; gdy sam wygra, oddaje żonie pieniądze. Sukien jego nie czuć dymem tytuniowym; a ponieważ szanuje białe firanki, więc pali cygara tylko za domem. Tajemniczości chronologicznej, która osłania wiek jego najdroższej — nigdy nie rozwiewa, i nigdy nie pyta, co sługi robią. Wieczorem wraca wcześnie do domu, i nie ma osobnego klucza od bramy. Rok rocznie wynajmuje letnie mieszkanie za miastem, ale sam siedzi od poniedziałku do niedzieli wieczór w mieście, zdany na łaskę starej kucharki. Koszta utrzymania domu pokrywa bez szemrania, nie badając nawet rubryki „drobnych wydatków.“ Zawsze jest cichy i słodki; rocznicę swego ślubu skrupulatnie i uroczyście obchodzi, nigdy się nie skarży, gdy musi czekać na objad, kawę robi sam, jeżeli żoneczka jeszcze nie wstała, i pozwala jej iść na bal, chociaż sam w domu zostaje. Spełnia wszystkie jej życzenia, płaci wszystkie jej rachunki, a na przypadek jej śmierci, opłakuje ją jak dziecko.

Pierwszy dyplomata. Niedawno temu radca Dietzer zapytał Bismarka, który go zaszczycza swoją przyjaźnią, kogo on uważa za pierwszego dyplomatę na świecie. Bismark odpowiedział na to temi słowy: „Nie mogę powiedzieć, kogo uważam za pierwszego dyplomatę, ale pewną jest rzeczą, że lord Beaconsfield jest drugim.“

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.